Dziś w numerze: Naukowcy o Wydawnictwie Łódzkim • Tylko dla dorosłych • Dmuchawce • Winna była mama • Tamto dwudziestolecie • Jedwabna droga do Grecji • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy

Nr 10 (424)
12. III. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

KONRAD FREJDLICH

Jedna z babińca

Ma tego dnia zmęczone oczy. Ona to wie, że ma zmęczone oczy i dlatego, jakby się usprawiedliwiając, mówi już przy powitaniu:

— Bo wie pan, ciężko rozchorowała mi się matka.

I prosi, żeby zająć miejsce na fotelu pod ścianą, pomiędzy jej dyrektorskim biurkiem i planszą ilustrującą rozwój produkcji zakładów.

Ma tego dnia zmęczone oczy, po nocy spędzonej na czuwaniu i to znużenie odsłania ją prawdziwą, siedemnaście lat dyrektorowania, wszystkie konferencje, giełdy i narady, i tę codzienną troskę o surowiec, o produkcję, żeby kobiety, które pracują w zakładach miały godziwy zarobek. Zwłaszcza ostatni rok był bardzo męczący, po prostu wychodziło się pod bramę wypatrywać samochodów z tkaninami, były przestoje ! później robota się piętrzyła, okropnie to szarpało ludzi. Ale plan wykonano mimo wszystko i to we wszystkich wskaźnikach, więc ludzie odetchnęli i teraz od jakiegoś miesiąca nie ma już takich kłopotów z surowcem. Bo dużo ich ma, tych kobiet, blisko dziewięćset, prawdziwy babiniec i większość najbardziej odpowiedzialnych stanowisk w zakładach zajmują kobiety, szefem produkcji jest także kobieta i kierownikiem zbytu, i kierownikiem przygotowania produkcji, nie mówiąc już o majstrach. A jeszcze jak wszystko dobrze pójdzie, babiniec się rozszerzy, bo pamięta o tych stu, które wydeptują Urząd Zatrudnienia i jeśli uda się uruchomić jeszcze jeden oddział, wszystkie dostaną pracę, nawet na pewno ją dostaną.

Zakłady właściwie także istnieją siedemnaście lat, jest tu od początku, gdy mała filia wyzwoliła się spod opieki macierzystej fabryki, chyba pamięta ten dzień, robi jakiś namysł. Najpierw, jeszcze w pięćdziesiątym, wysłano ją na kurs dla kierowników zakładów. Nic z tym nie wiązała. W domu podśmiewali się trochę, że co jej z tego przyjdzie. Później mąż sam przepowiedział, że pewnie cię gdzieś postawią, ale nigdy serio o tym nie myślała.

— Nie miałam odwagi przyjąć tego stanowiska — zwierza się po prostu.

Był rok pięćdziesiąty pierwszy, wtedy nie przyjmowano żadnych tłumaczeń i tego, że dzieci potrzebują matki.

— Bo mam dwóch synów — wyjaśnia.

Ale w branży akurat dwadzieścia kobiet zamianowano wtedy dyrektorami, nie była wyjątkiem i nawet nie mogła wyjawić swoich obaw, nie wypadało. Poznała je wszystkie osobiście, na giełdach, w ministerstwie, do dziś pięć z nich piastuje swój urząd, inne się wykruszyły przez te lata.

— Ja też już dałam sobie wyciąć woreczek. A matka mówi: Ty musisz jeszcze pożyć, zdrowie jest ważniejsze. Siedemdziesiąt dwa lata ma matka.

Nie miała odwagi przyjąć tego stanowiska, choć ostatecznie uwierzyła, że przecież zdoła. Nieźle zna fach, długo była szwaczką i tylko bała się, czy ma w sobie dość serca, bo na dyrektorskim fotelu tak łatwo można kogoś skrzywdzić. Niektórzy zachłystują się dyplomami, nie myślą nawet o tym, aby ich wiedza pomagała ludziom. Ale zachłyśnięcie stanowiskiem wyrządza jeszcze większe szkody.

W tych siedemnastu latach istnienia zakładu jest także kawałek jej własnej biografii, jej osobistego szczęścia przede wszystkim, bo trzeba się było wyrzec bez mała męża, dzieci, rodziców, wysoką cenę musi kobieta zapłacić za awans.

Niewiele czasu można było poświęcić własnemu domowi. W zakładzie szły batalie o wprowadzenie nowych asortymentów. Po odzieży ochronnej opracowano technologię produkcji garniturów męskich. Zdobyli pierwsze zagraniczne rynki zbytu. Teraz szyją także odzież damską, własne modele wypracowane przez własną wzorcownię, wystawiają je systematycznie na giełdach w Poznaniu.

— Zawsze sobie wtedy kupuję bilet do opery. Bo przecież oglądam tylko telewizję. Nawet do kina nie mogę się wyrwać.

Teraz, ostatnio, ma już trochę więcej czasu. Jeden z synów

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ NADOLSKI

KROSNO strażnica nad ODRĄ

I to ma być koniec maja? Szare chmury wiszą nisko nad smutną ziemią, zimny wiatr zaciąga, a mokry asfalt szosy piszczy pod kołami rozpędzonej „Nysy". Po obu stronach drogi czernieje sosnowy las.

Długie równiutkie rzędy anemicznych sosen, wszystkie jednej miary, wszystkie jednego wieku.

Biedny, oswojony las, który zachwycona soba DEUTSCHE WIRTSCHAFT pozbawiła naturalnej różnorodności, pozbawiła podszycia i starych, dziuplastych drzew — kryjówek dla ptactwa, wydała bezbronny na żer owadzich szkodników i równie jak one groźnego pożaru. Przed inwazją sówek i barczatek broni się teraz las licznymi budkami, które bieląc na czerwonawoszarych pniach sosnowych, mają zapewnić kwatery dla skrzydlatej, owadożernej milicji. O lęku przed ogniem świadczą nie mniej liczne tablice straszące na leśnej krawędzi: „Uwaga! niebezpieczeństwo pożaru!", „Wstęp do lasu wzbroniony!", „Przejazd zamknięty!". Tak, tak, „nie chodź, Marysiu do lasa, bo tam leśniczy woła i krzyczy...". Któż nie zna tej starej piosenki? Trudno zresztą dziwić się władzom leśnym, że strzegąc powierzonego im dobra, chcą je uchronić przed nieprzewidzianymi, a groźnymi skutkami masowej turystyki. Inna rzecz, czy broń jest skuteczna. Wiadomo, że lasów w Polsce sporo (choć nie tyle, ileby się chciało), turystów jeszcze więcej, a służba leśna nie tak znowu liczna. Wiadomo też, iż nic łatwiejszego niż wydać zakaz, ale od wydania do respektowania droga daleka, a zakazu, z natury narażonego na ustawiczne przekraczanie — lepiej czasami nie wydawać. Wiemy jak to było, a po trochu i jest nadal, z problemem utonięć, który chciano załatwić ugarnirowaniem wszystkich rzecznych, stawowych i jeziornych brzegów tablicami z napisem „Kąpiel niedozwolona". Kosztowało to na pewno mniej niż rozpowszechnienie umiejętności pływania, ale też i rezultat zdaje się wątpliwy. Bo oto tablice stoją, kary się ściąga, a uparty naród po staremu lezie do najbliższej wody i tonie na wyścigi. Radykalnie załatwiałaby sprawę sztuczna zmiana klimatu, likwidacja upałów. Wszyscy szczękaliby wówczas zębami i do kąpieli nikogo by kijem nie zagonił; zatem nikt by się nie topił. Tak daleko jednak postęp techniczny jeszcze nie doszedł.

Ale wróćmy do naszych lasów dolnośląskich. Dziś tak anemiczne, wymagające stałej ochrony przed przyrodą i człowiekiem, niegdyś przecież same były ochroną; były zaporą zamykającą od zachodu dostęp do ziem zajętych przez plemiona polskie. „To palisada Ksiestwa" — mówi o nich Bolesław Chrobry w powieści Gołubiewa, i historyk, mimo swej zawodowej ostrożności może zgodzić się z fantazją powieściopisarza. Wyprawy niemieckie, ciągnące ku ośrodkom państwa piastowskiego, napotykały na północy na rozległą, zagubioną, trudną do przebycia dolinę dolnej Odry. Na południu zamykała drogę górska bariera Sudetów. Jedynie środkowy odcinek zachodnich granic Polski wczesnośredniowiecznej był bardziej dostępny agresji. Można go było osiągnąć wykorzystując ważne szlaki biegnące znad Łaby od wysuniętych ku wschodowi potężnych bastionów Rzeszy: Miśni i Magdeburga.

Lecz nawet ta najprostsza i najkrótsza droga przez Łużyce i Dolny Śląsk, nie była łatwa. Podstawieni

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

We Francji odbyła się w niedzielę pierwsza tura wyborów powszechnych do Zgromadzenia Narodowego. Do walki o mandaty deputowanych stanęło ok. 2.200 kandydatów w 486 okręgach. Wybory odbywają się w oparciu o zasadę większościową. W pierwszej turze niezbędne jest uzyskanie bezwzględnej większości głosów. Kandydat, który nie otrzymuje takiego poparcia na skutek rozbicia głosów, ale nie uzyskał ich mniej niż 10 proc. w stosunku do liczby uprawnionych do głosowania (a więc praktycznie ok. 15 proc. głosujących) może stanąć do drugiej tury wyborów — 12 bm. Wtedy już mandaty zdobywa się zwykłą większością głosów. Jako że wypadki wyboru w pierwszym głosowaniu są nieliczne, (w niedzielę wybrano 73 deputowanych) rozstrzygająca jest więc tura druga. I dopiero wówczas będziemy znali wyniki wyborów.

Spośród czterech głównych ugrupowań politycznych, walczących o podział miejsc w parlamencie, w metropolii swoich kandydatów wystawiły wszędzie tylko dwa: gaulliści i Francuska Partia Komunistyczna. Federacja lewicy demokratycznej i socjalistycznej obsadziła 415 okręgów, a tzw. centrum demokratyczne — 350.

Oczekując na drugą, decydującą turę głosowania chciałbym przedstawić Czytelnikom — oczywiście w skrócie do jakiego zobowiązują rozmiary komentarza — trzy z wymienionych ugrupowań. Jeśli bowiem nie wymaga prezentacji Francuska Partia Komunistyczna, to z pewnością nie zawsze zrozumiałe jest, co kryje się pod nazwami innych z wymienionych ugrupowań.

Określenie: gaulliści — odnosi się przede wszystkim do Unii na rzecz Nowej Republiki (UNR), ściśle z nią związanej Demokratycznej Unii Pracy (UDT), Partii Republikanów Niezależnych, dążącej do orientowania gaullizmu bardziej na prawo oraz różnych, raczej nietrwałych, ruchów, tendencji i klubów. Przywódcą Unii jest Michel Debre, a całego ruchu gaullistowskiego Georges Pompidou. W parlamencie, którego kadencja właśnie wygasła, wymienione ugrupowania tworzyły większość rządową.

Federacja lewicy demokratycznej i socjalistycznej składa się z trzech ugrupowań: partii socjalistycznej — SFIO, konwentu instytucji republikańskich i partii radykalnej. Jej przewodniczącym jest Francois Mitterrand, który popierany przez komunistów w ostatnich wyborach prezydenckich uzyskał 44,8 proc. głosów.

Wreszcie trzecim ugrupowaniem jest tzw. centrum demokratyczne, któremu przewodzi Jean Lecanuet, a które opiera się o republikanów ludowych (URP) oraz część niezależnych, ale także o prawicowe elementy radykałów.

Już w ub. tygodniu pisałem o co toczy się walka wyborcza. Ze wstępnych doniesień wynika, iż w I turze tzw. kandydaci V Republiki uzyskali większość. Rzecz jednak w tym, czy będzie ona bezwzględna, a więc czy gaullistom uda się zdobyć w nowym parlamencie powyżej 243 mandatów. Jeśli tak — umożliwiłoby im to sprawowanie rządów do 1972 roku (kadencja 5-letnia), a więc do czasu, kiedy wygasa również prezydentura de Gaulle'a (kadencja 7-letnia).

Do tych rozważań na temat dwóch niedziel wyborczych we Francji warto jeszcze dodać, że po wyborach prezydenckich z 1965 roku, które i w pierwszej i drugiej fazie miały dość dramatyczny przebieg, zainteresowanie nimi jest wysokie. Tym większe, że w II turze ugrupowania lewicowe łączą swoje głosy.

No tak — rozpisałem się o Francji, a tu jeszcze chciałbym podzielić się uwagami i o innych wydarzeniach ostatniego tygodnia, a przede wszystkim o sytuacji w związku z konfliktem wietnamskim.

Stany Zjednoczone wzmagają agresję w Wietnamie. Podjęte decyzje o zbombardowaniu elektrowni, zasilających Hanoi i Hajfong, minowanie rzek DRW oraz ostrzeliwanie strefy zdemilitaryzowanej, a także określonych obiektów na wybrzeżu Wietnamu północnego nie może być traktowane inaczej niż jako dokonanie nowych aktów eskalacji. Nie trzeba zapewne dodawać, że wszystko to oddala możliwość negocjowania konfliktu. Zdaje sobie z tego sprawę również Robert Kennedy, który właśnie jak gdyby chciał przechwycić inicjatywę, przedstawiając swój plan przywrócenia pokoju w Wietnamie.

Stwierdzając, że pierwszym i zasadniczym krokiem na drodze pokojowego rozwiązania problemu powinno być przerwanie nalotów na terytorium DRW — Kennedy proponuje: rząd USA powinien oznajmić, że w ciągu tygodnia od zaniechania bombardowań gotowy jest podjąć rozmowy, w czasie których działania wojenne nie mogłyby być nasilane. Należy — jego zdaniem — utworzyć następnie międzynarodowe grupy kontroli, a w końcowym etapie rozwiązywania konfliktu — wprowadzić do Wietnamu zamiast wojsk amerykańskich międzynarodowe siły pod kierownictwem ONZ.

Kennedy opowiedział się za takim rozstrzygnięciem na południu Wietnamu, aby wszystkie siły polityczne miały możliwość samodzielnego decydowania.

Powyższe propozycje odczytane zostały przez komentatorów, i to nie bez racji, jako wyzwanie rzucone Johnsonowi.

Z innych wydarzeń na szczególne podkreślenie zasługuje pobyt w Polsce partyjno-państwowej delegacji CSRS, uwieńczony podpisaniem nowego układu o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy. Obszerne komentarze w prasie codziennej, radio i TV zwalniają jednak niżej podpisanego od omawiania układu, który ma nie tylko wielkie znaczenie dla stosunków dwustronnych, lecz i międzynarodowych.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

■ **Zdaniem Stanów Zjednoczonych perspektywy zawarcia układu o zakazie rozpowszechniania broni jądrowej są w chwili obecnej niezbyt pewne. Wynika to po części z opozycji krajów nie dysponujących bronią jądrową, takich np. jak NRF, Indie i Japonia, wobec tego układu.**

■ W ubiegłym roku Czechosłowacja uczestniczyła w 55 międzynarodowych festiwalach filmowych. Filmy czechosłowackie otrzymały ogółem 67 nagród.

■ Zarzuty kanclerza NRF Kiesingera skierowane pod adresem Amerykanów o brak dyskusji i konsultacji z NRF, zwłaszcza jeśli idzie o sprawę układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, wywołały poruszenie i irytację dyplomatycznych kół Stanów Zjednoczonych.

■ **67 proc. indagowanych w kolejnej ankiecie Gallupa Amerykanów opowiedziało się za kontynuowaniem bombardowań DRW.**

■ W nowym numerze miesięcznika „Nowyj Mir" ukazał się autobiograficzny szkic Borysa Pasternaka pt. „Ludzie i sytuacje". W przygotowaniu tego szkicu wziął udział syn poety Eugeniusz Pasternak — inżynier z zawodu.

■ **Edgar Snow — pisarz i osobisty przyjaciel Mao Tse-tunga — o „rewolucji kulturalnej" w Chinach: „Jest to najbardziej niezwykła w historii próba, by zainteresować młode pokolenie problemami politycznymi. Historia nie zna podobnych wypadków. Prawdopodobnie zresztą tego rodzaju zamieszanie nie byłoby możliwe w jakimkolwiek innym kraju, ale może ono przynieść bardzo pozytywne rezultaty dla przyszłości Chin".**

■ W stolicy Albanii Tiranie ukazały się na murach plakaty, w których krytykuje się przejawy biurokracji, religijności i innych przeżytków burżuazyjnych w świadomości ludzi. Krytyka dotyczy także osób, które nie uczestniczą w gimnastyce porannej, świętują dzień imienin itp. Jeden z plakatów wzywa kobiety, aby nie nosiły krótkich sukien, pantofli na wysokich obcasach i nie kupowały importowanych towarów. Powinny natomiast nosić warkocze.

— Komu stypendium?
(New York Herald Tribune)

■ **Ministerstwo Spraw Zagranicznych DRW opublikowało deklarację, w której stwierdza, że naród wietnamski nigdy nie ugnie się przed przemocą i nie nawiąże negocjacji pod groźbą amerykańskich bomb.**

■ Indyjscy książęta rodowi, maharadżowie, których znaczenie poważnie osłabło po uzyskaniu niepodległości przez kraj w roku 1947, odnieśli w ostatnich wyborach powszechnych wyraźny sukces, zdobywając blisko 100 miejsc w parlamencie centralnym i w zgromadzeniach stanowych.

■ W kołach teatralnych Nowego Yorku sensację wzbudza grana tam ostatnio sztuka, której autorką jest 25-letnia studentka z Kalifornii. Posługując się sparodiowaną kanwą „Makbeta" i w pewnym sensie „Hamleta", autorka przedstawia dzieje konfliktu rodziny Mac Bird (Johnsonów) i klanu Ken O'Dunc (Kennedych). Ostre sformułowania tej satyry politycznej przewyższają wszystko, co dotychczas powiedziano publicznie o ewentualnych motywach zbrodni w Dallas.

■ **Korespondenci zagraniczni donoszą z Chin, iż Mao Tse-tung miał przekazać całą władzę wykonawczą premierowi Czou En-lajowi z zadaniem ograniczenia „rewolucji kulturalnej" i odbudowania chińskiej gospodarki.**

■ NRD zajmuje obecnie w światowym handlu zagranicznym 12 miejsce, a wśród krajów europejskich — ósme. 75 proc. obrotów handlowych NRD przypada na kraje socjalistyczne, z czego 44 proc. obejmuje handel ze Związkiem Radzieckim.

■ Prezydent Tanzanii — Nyerere oświadczył, że idiotyczne jest, że Afryka wzywa ciągle kraje rozwinięte do inwestowania na tym kontynencie. Prezydent wezwał do opierania się na własnych siłach. Nyerere stwierdził, że opinie tych, którzy twierdzą, że droga Tanzanii do socjalizmu opiera się na koncepcjach Mao Tse-tunga, nie odpowiada prawdzie. „Nie prosiłem Mao Tse-tunga, by uczył mnie problemów Tanzanii. Jestem czynnym politykiem w swym kraju i sam wiem, co dobre jest dla tego narodu i nie potrzebuję, aby Chińczycy mówili mi o warunkach życia mojego narodu".

■ Od 1945 roku do chwili obecnej w Czechosłowacji wydano około 700 książek polskich autorów — klasyków i współczesnych, w przekładzie na język czeski.

■ Podkomisja do Spraw Handlu Międzynarodowego Izby Reprezentantów jednomyślnie zatwierdziła kredyt Państwowego Banku Importowo-Eksportowego w wysokości 50 mln dolarów na zakup w USA sprzętu maszynowego przez włoską firmę „Fiat", która zamierza zbudować w ZSRR zakłady samochodowe.

■ W Austrii powstała „Marksistowsko-Leninowska Partia Austrii". Na zebraniu założycielskim przyjęto tekst pisma z pozdrowieniami zaadresowanego do KC Albańskiej Partii Pracy.

■ „Nie przywiozłem ze sobą pokoju" — oświadczył ambasador USA Goldberg, który przybył z trzydniową wizytą do Sajgonu.

■ Rumuński dziennik „Scinteia" zamieścił artykuł redakcyjny poświęcony sprawie jedności ruchu robotniczego i komunistycznego na świecie oraz jedności krajów socjalistycznych. Niezachwianym przekonaniem Rumuńskiej Partii Komunistycznej — czytamy w dzienniku, wypływającym z głębokiego pragnienia rozwoju ruchu komunistycznego jest, że w dzisiejszych warunkach nie należy przedsiębrać niczego, absolutnie niczego co pogłębiałoby różnice, pogarszało aktualny stan, dodawało nowe elementy napięcia i wzmagało niebezpieczeństwo rozdźwięku.

■ Przewodniczący Rady Rewolucyjnej Algierii Bumedien stwierdził, iż system rządów Ben Belli (byłego prezydenta) był systemem anarchicznym osłoniętym piękną warstwą malowideł. Bumedien dodał, że celem Algierii jest „prawdziwy socjalizm, taki jak rozumieją go wszystkie kraje świata, jest ideologią naukową, opartą na kryteriach naukowych".

Wygląda na stypendystę CIA.
— A mnie się wydaje, że FBI.
(Chicago Sun Times)

POGODA CZY DESZCZ?

Przeczytałem ostatnio w „Kurierze Polskim" interesującą notatkę. Dowiedziałem się z niej, że pisarze poznańscy zorganizowali właśnie kolejną dekadę poświęconą szerokiej popularyzacji ich własnej twórczości. Myśmy w Łodzi nigdy takiej dekady nie mieli, cóż więc się dziwić, że mnie od razu zaczęła toczyć melancholia. Autor notatki powiada, że środowisko poznańskie należy do najliczniejszych po Warszawie i Krakowie, ale, to nie odpowiada prawdzie, Łódź ma więcej pisarzy na bieżącej ewidencji niż Poznań, co zresztą nic szczególnego w obu wypadkach nie znaczy. Z liczby pisarzy nie wynika wcale liczba książek, a z liczby książek, chociażby i dużej wcale nie wynika ich wysoki poziom. Nie zamierzam więc o to kruszyć kopii, kto jest w Polsce trzeci — Poznań, czy Łódź. Statystycznie — my, albośmy to jacy tacy, a naprawdę — trzeba by porządnie sprawdzić.

Warto jednak kruszyć kopie o większe zainteresowanie dorobkiem naszych twórców. Dekadę pisarzy wielkopolskich urządzają, oczywiście, pisarze, ale wespół z „Domem Książki" i Stowarzyszeniem Księgarzy Polskich, które funduje nagrody dla placówek księgarskich najbardziej zasłużonych w upowszechnieniu dorobku pisarskiego naszych kolegów z Poznania. To jest ładna akcja, sięga do wszystkich powiatów, większych i całkiem małych miejscowości, czytelnik poznaje pisarza, księgarz urządza wystawy, a wszystko razem tworzy atmosferę serdecznego związku twórcy z ziemią, na której żyje i mieszka. Nasze skądinąd bardzo zasłużone placówki — „Dom Książki", młody jubilat 10-latek — Wydawnictwo Łódzkie, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, nie chodzi zresztą o wyliczanie, boć jest i TWP i Biblioteka Wojewódzka, no więc te zasłużone placówki, nie podjęły tego rodzaju inicjatywy, choć podejmują inne,

Dekada literatury, czy — może szerzej — twórczości Łodzi i Ziemi Łódzkiej — to jest inicjatywa mająca ręce i nogi. Chodzi jeszcze o głowę. Z głową urządza rokrocznie Śląsk Dni Literatury Współczesnej, z pewnością posiadają głowę nasze imprezy regionalne, poświęcone kulturze. Można tedy zaryzykować taką właśnie dekadę. Literatura łódzka istnieje w potrójnym znaczeniu. Po pierwsze dlatego, że nie brak nam pisarzy. Mam na myśli nie tylko literatów, ale ludzi pióra w szerszym znaczeniu, więc także i naukowców, czy też dziennikarzy, przynajmniej tych, którzy nie kończą na notatce w sprawie przejazdu na ulicy Rzgowskiej, koniecznej przecież, lecz pewnie nie wyczerpującej możliwości piór ambitnych i zdolnych.

Istnieje również i dlatego, że podejmuje temat łódzki. Jakżem sobie zaczął liczyć pozycje ściśle literackie, eseistyczne, reportażowe i naukowe związane z miastem i Ziemią Łódzką — za każdym razem wychodziły mi grube dziesiątki. Jest to dorobek, który można i chyba nawet trzeba w jakiejś zwartej, zorganizowanej formie zetknąć z czytelnikiem. Proszę przy tym zwrócić uwagę na pewien znamienny fakt, który można by nazwać naszą łódzką decentralizacją. Wielka, niewielka, ale jest. Powstają po prostu ośrodki twórcze w niektórych regionach województwa. Raczkują jeszcze, chodzą może nie nazbyt pewnie, a i mówią niewyraźnie, lecz są. Grupa miłośników Sieradza wydała już wcale interesujące materiały, z dziejów swojej ziemi, podobnie zespół ludzi, zakochanych śmiertelnie w Łęczycy, grupka zdolnych pisarzy działa w ambitnym Tomaszowie Mazowieckim, nieźle słychać o Radomsku. Tuzy akademickie i literackie Łodzi — miasta wraz z tamtymi znad Warty, Pilicy, i od diabła Boruty, komponują się w całość, którą warto zaprezentować. Różne to poziomy i rozmaity dorobek, ale powiązane gorącym stosunkiem do łódzkiej problematyki. Miłość bez wzajemności jest czasem twórcza, ale zawsze smutna, tu jednak dopominałbym się o wzajemność wyłącznie twórczą. Przed niedawnym czasem nasza Wojewódzka Rada Narodowa ogłosiła doroczne nagrody za twórczość naukową związaną i pożądaną dla Ziemi Łódzkiej jako zjawisko partykularne, czy też lokalne, zbyt Podobne znaczenie mogłyby mieć dekady twórczości literackiej i nie tylko literackiej.

Chciałbym wreszcie powiedzieć dlaczego istnieje literatura łódzka — po trzecie. Dlatego, że nie istnieje, a raczej przestaje w pewnej mierze istnieć, jako zjawisko partykularne, czy też lokalne, zbyt specyficzne, aby mogło być szeroko rozumiane. Oczywiście, godna jest szacunku twórczość ściśle regionalna, a nawet tylko przyczynkarska, godniejsza jednak z pewnością taka, która przekonuje, że rozumiejąc nasze problemy rozumiemy równocześnie krajowe. Twórczość antyzaściankowa, dobywająca z gliny łódzkiej i łódzkiej materii te elementy, z których składa się kraj i świat. Mamy i taką twórczość.

Tak więc jest co prezentować na wzór poznański, czy też śląski, a jeszcze lepiej postarać się o własny wzór akcji dorocznej upowszechniającej nasz wspólny dorobek środowisk twórczych.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

NAUKOWCY O WYDAWNICTWIE ŁÓDZKIM

W związku z dziesięcioleciem działalności Wydawnictwa Łódzkiego zwróciliśmy się do przedstawicieli świata nauki z prośbą o ocenę dorobku wydawniczego w dziedzinie literatury naukowej, popularnonaukowej i popularnej o tematyce politycznej, społecznej i kulturalnej. Głos zabrali: historyk, ekonomista i socjolog.

MÓWI PROF. DR JÓZEF DUTKIEWICZ

Książki o tematyce historycznej wydane przez Wydawnictwo Łódzkie wyraźnie układają się w cztery grupy, z których każda spełnia odmienne zadania i stanowi odrębny typ literatury historycznej. Są to:

1. Literatura pamiętnikarska,
2. Monografie historyczne o charakterze prac naukowo-badawczych.
3. Studia i materiały (prace zbiorowe).
4. Literatura popularnonaukowa.

Każdy z tych czterech typów literatury historycznej adresowany jest też do innego czytelnika.

Wszelkie pamiętniki, a więc opisy, uwagi i spostrzeżenia pisane na gorąco stanowią nieoceniony materiał dla historyka. Nawet jeśli zawierały jakieś błędy. Jednocześnie jest to ten typ literatury, który trafia nie tylko do kręgu specjalistów — jest w stanie zafrapować zwykłego, przeciętnego czytelnika. Dobrze więc się stało, że Wydawnictwo Łódzkie wypuściło na rynek księgarski sporo pozycji pamiętnikarskich. Niektóre z nich są wręcz rewelacyjne, np. „Kronika getta łódzkiego".

Monografie historyczne o charakterze naukowo-badawczym adresowane są do węższego grona czytelników, obeznanego z problematyką historyczną i przywykłego do naukowego toku wywodów. Jest to literatura szczególnie cenna dla historyka dzięki swemu bogatemu udokumentowaniu archiwalnemu. Tak właśnie udokumentowane są książki G. Missalowej („Studia nad powstaniem Łódzkiego Okręgu Przemysłowego"), W. Karwackiego („Walka o władzę w Łodzi 1918—1919") i („Łódzka organizacja PPS-Lewicy 1906—1918"), A. Leśniewskiego („Łódzka organizacja AZWM"), Z. Gostkowskiego („Dziennik Łódzki" w latach 1884—1892"), A. Barszczewskiej („Woj. kaliskie i mazowieckie w powstaniu listopadowym 1830—1831") i M. Cygańskiego („Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi").

Studia i materiały, a więc prace zbiorowe dotyczące Łodzi lub okręgu łódzkiego (np. Ziemi Sieradzkiej, Ziemi Łęczyckiej), stanowią cenną okazję dla ukazania dorobku historyków młodych, mogących zająć się dość szczegółowymi problemami. Ciekawymi i z pewnością potrzebnymi pozyciami są „Studia i materiały do dziejów Łodzi i okręgu łódzkiego" (pod red. H. Brodowskiej), „Łódź w XX-leciu PRL" czy „20 rocznica powstania PPR".

Prace popularnonaukowe to bardzo ważny typ wydawnictw historycznych. W formie dostępnej i interesującej przeciętnego czytelnika popularyzują osiągnięcia badań naukowych. Stanowią pomost pomiędzy światem nauki i szerokimi rzeszami czytelników. Taka właśnie publicystyka naukową są książki W. Bortnowskiego („Na tropach łódzkiego września"), S. Gaika („Promieniści"), A. Berkowicza („Geyerowska legenda") lub A. Ginsberta („Łódź, Studium monograficzne").

Razi mnie dysproporcja pomiędzy ilością pozycji historycznych wypuszczonych przez Wydawnictwo Łódzkie, a liczbą opracowań poświęconych sprawom bieżącym. W działalności Wydawnictwa istnieje poważna luka. Mało reprezentowane są na przykład badania nad socjologią przemysłu, brak pozycji dotyczących aktualnej problematyki gospodarczej, urbanistycznej, ekonomicznej, socjologicznej itp.

Uderza też pewna nieprawidłowość w rozwoju działalności Wydawnictwa — stałemu wzrostowi ilości wydanych książek z zakresu literatury pięknej towarzyszy spadek liczby pozycji naukowych i popularnonaukowych:

poezja i satyra	1965 r.	11 pozycji
	1966 r.	17 „
proza	1965 r.	21 „
	1966 r.	25 „
literatura naukowa i popularnonaukowa	1965 r.	12 „
	1966 r.	8 „

Ponadto wydaje mi się, że Wydawnictwo powinno publikować nie tylko pozycje związane tematycznie z Łodzią lub okręgiem łódzkim. Dotychczas zbyt rzadko odchodzono od tej zasady. Sprawy łódzkie powinny dominować, ale bez uzurpowania sobie prawa wyłączności.

MÓWI PROF. DR EDWARD ROSSET

Z okazji jubileuszu Wydawnictwa Łódzkiego pragnę poświęcić kilka słów roli, jaką ta, dziś już zasłużona placówka odgrywa w dziele popularyzacji wiedzy o naszym rodzinnym mieście. W Wydawnictwie Łódzkim ukazały się pod moją redakcją dwie fundamentalne publikacje związane jak najściślej z Łodzią. Jedna z nich to „Łódź w XV-leciu 1945—1960", drugą jest monografia pt. „Włókniarze łódzcy".

W księdze piętnastolecia został zobrazowany twórczy wysiłek ludności miasta, które — nie przestając być potężnym ośrodkiem przemysłowym — przeobraziło się po wojnie w poważny, tętniący życiem ośrodek nauki, kultury i sztuki. Księga, która podsumowuje dorobek pierwszego powojennego piętnastolecia, stanowi dokument o trwałej wartości historycznej. Można nie wątpić, że będą do niego sięgali przyszli badacze dziejów Łodzi. Na całość publikacji złożyło się kilkanaście doskonale opracowanych rozpraw naukowych, które wyszły spod pióra głównie pracowników nauki. Trud redagowania tej publikacji dzielili ze mną: docent Aleksander Kamiński, docent Jan Mujżel, prof. Wacław Szubert, docent Tadeusz Szymczak i dr Kazimierz Szwemberg.

Jeśli chodzi o „Włókniarzy łódzkich", to jest to pierwsza w Polsce wyczerpująca monografia dotycząca życia i pracy wielkiej grupy zawodowej, dodajmy — grupy o pięknych tradycjach walki o postęp i wyzwolenie społeczne świata pracy. Nie mają dotąd podobnej monografii ani górnicy, ani hutnicy, ani kolejarze. Dorobili się jej włókniarze dzięki prężności łódzkiego ośrodka naukowego mającego oparcie przede wszystkim w Uniwersytecie Łódzkim oraz dzięki szczególnej atmosferze, jaka panowała i panuje w kierownictwie organizacji zawodowej włókniarzy — atmosferze zrozumienia i szacunku dla pracy naukowo-badawczej. I ta publikacja jest dziełem zbiorowym: złożyły się na nią prace licznego grona pracowników nauki oraz przedstawicieli ruchu zawodowego. W pracach redakcyjnych brali udział: Stanisław Golębiewski, Aleksander Kamiński, Józef Marczak, Gryzelda Missalowa, Aleksander Posłołow, Edward Rosset, Józef Spychalski i Wacław Szubert. Została wykonana duża i dobra robota.

Wypowiedź moja ma charakter wspomnienia, ale cel jej jest inny. Chcę zwrócić uwagę na potrzebę i znaczenie badań naukowych nad własnym, lokalnym środowiskiem i chcę zachęcić Wydawnictwo Łódzkie do nietracenia z oczu tej ważnej sprawy. Poza tym — z racji jubileuszu — Ad multos annos!

MÓWI DOC. DR KAZIMIERZ ŻYGULSKI

Sprawy Wydawnictwa Łódzkiego rozpatrywać można nie tylko z punktu widzenia lokalnego, lecz także w aspekcie rozwoju nowego modelu kultury w Polsce. Obecne rozmieszczenie instytucji kulturalnych na mapie Polski wskazuje na liczne nieprawidłowości, których usunięcie ma przynieść polityka policentryzmu kulturalnego. Powojenny awans kulturalny Łodzi jest z różnych względów większy niż innych wielkich miast Polski, tym bardziej więc polityka kulturalna naszego miasta winna odpowiadać nowym tendencjom rozwojowym.

Działalność wydawnicza w Polsce do dziś jest niezwykle scentralizowana (Warszawa). A przecież nie może być mowy o normalnym rozwoju środowiska intelektualnego bez własnego wydawnictwa. Rozwój Wydawnictwa Łódzkiego należy więc traktować jako wskaźnik realizacji zadania: utworzenia w Łodzi centrum kulturalnego.

Przy takim rozumieniu problemu minione dziesięciolecie istnienia Wydawnictwa Łódzkiego należałoby traktować jako cenny, lecz tylko wstępny etap działalności wydawniczej. Przeważnie regionalny profil Wydawnictwa nie pozwalał na ogół i nie pozwala wciąż jeszcze na szersze promieniowanie kulturalne ośrodka łódzkiego, ogranicza jego znaczenie, prowadzi do partykularyzmu. W tej sytuacji w pozycjach takich jak: W. Cygańskiego „Mniejszość niemiecka w Polsce w latach 1918—1939", H. Zanda „Taktyka bolszewików w okresie pokojowego rozwoju rewolucji", A. Skiby „Szkice z dziejów USA", S. Dzięcielskiej — Machnikowskiej i J. Kulpińskiej „Awans kobiety" — które ukazały się w Wydawnictwie Łódzkim, chcielibyśmy widzieć zwiastuny nowego okresu jego działalności, zapowiedź wyrastania ze stadium wstępnego.

Ośrodek kulturalny jest na tyle duży i ważny, na ile potrafi przekraczać własne granice geograficzne. Środowisko kulturalne każdego wielkiego miasta jest i musi być otwarte na ogólne problemy współczesnej kultury. Inaczej grozi mu zaściankowość, prowadząca zawsze do wyjałowienia. Odpowiednia polityka i inspiracje ze strony Wydawnictwa mogą być poważnym bodźcem rozwojowym, sorzyjać szczerym i ambitnym nurtom.

Jeśli Wydawnictwo nie uwzględni w swej działalności nowych tendencji rozwojowych kultury w Polsce (policentryzm), może wytworzyć się sytuacja, że pisarze, twórcy łódzcy lokować będą swe najlepsze i najciekawsze dzieła w wydawnictwach centralnych, a u nas to tylko, co nosi charakter lokalnych „przyczynków". Dla przykładu: Łódź stanowi niewątpliwie najważniejsze polskie centrum filmowe. Czy nie mogłoby to znaleźć swego wyrazu w odpowiednich publikacjach? Nasze środowisko stać jest na podjęcie szerokiej palety tematycznej, na porzucenie partykularyzmu, wejście na szerszy rynek i — co za tym idzie — zdobycie większego znaczenia. Tylko trzeba mu to umożliwić. Tak jak to czyni Kraków, Poznań czy Wrocław.

KROSNO strażnica nad ODRĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

lub przekupieni przewodnicy umyślnie wodzili armię niemiecką po bezdrożach. Niepokoiły ją polskie załogi trzymające się w grodach Łużyc i Milska. Wreszcie dawały o sobie znać przednie straże głównych sił Bolesława. „Kiedy dzielny rycerz Thiedbern" — pisze Thietmar merseburski o wypadkach z r. 1005 — „dowiedział się... iż nieprzyjaciel zaczął się, by zaatakować z boku nasze wojsko, zebrał potajemnie najlepszych rycerzy i chcąc samemu sobie przysporzyć sławy, postanowił podejść go i zniszczyć podstępem. Nieprzyjaciel jednak bardzo przezornie uciekł między gęsto leżące ścięte drzewa, aby tym skuteczniej móc nękać stąd nacierających. Wypuściwszy, jak zwykle, strzały, które u niego główny stanowią środek obrony, zabił z tej zasadzki, a następnie złupił najpierw owego Thiedberna, potem Bernarda, Izona i Bennona, sławnych wasali biskupa Arnulfa, oraz wielu ich towarzyszy". Można sądzić, iż epizod ten (niezbyt zgadzający się z utartym przekonaniem o polskiej brawurze i niemieckim rozsądku) nie był odosobniony. Za przebycie borów dolnośląskich Henryk niemiecki musiał drogo płacić krwią swoich rycerzy.

Leśne niespodzianki, choćby najbardziej dokuczliwe, nie mogły jednak zazwyczaj zatrzymać najpotężniejszej armii ówczesnej Europy Łacińskiej. I oto szlak łużycko-śląski, prędzej czy później wyprowadzał najeźdźców nad Odrę, przy ujściu Bobra, pod wały krośnieńskiego grodu. Tu prolog dobiegał końca. Rozpoczynała się kulminacyjna, decydująca faza wyprawy.

Do rozstrzygających działań w rejonie Krosna doszło po raz pierwszy w tym samym roku 1005, który widział śmierć rycerza Thiedberna, poległego od polskich strzał. Przeciw Bolesławowi ciągnęli wówczas nie tylko Niemcy, ale i sprzymierzeni z nimi Czesi i pogańscy Wieleci. Szli, mając za sobą pamięć zeszłorocznych zwycięstw w Czechach i na Łużycach, pamięć triumfalnie zajętej Pragi, pamięć Budziszyna, zdobytego po uporczywym oblężeniu. Wiedzieli, że po długich dniach ciężkiego marszu znad Łaby dopadli wreszcie głównych sił groźnego przeciwnika. Lecz, aby je zmusić do walnej bitwy i zgnieść własną przewagą, aby ruszyć następnie na otwarty, bezbronny kraj w stronę Poznania i Gniezna, trzeba było przebyć wodną barierę Odry. „Bolesław jednak obwarowawszy brzeg tej rzeki i usadowiwszy się w Krośnie, przeszkadzał jak mógł w przeprawianiu się... na drugą stronę" (to znowu Thietmar, którego słowa nieraz jeszcze przyjdzie nam cytować).

Otóż i Krosno przed nami! Las skończył się jak ręką uciął, droga spada w dół, w rozległą rynnę pradoliny. Tuż za szarą wstęgą Odry ciemnieje drugi brzeg, wysoki, pokryty lasami. Nad rzeką, przy moście — miasteczko, częścią tylko dźwignięte z wojennej pożogi. Z lewej, wśród mokrych łąk, długa linia rozsochatych wierzb znaczy leniwy brzeg Bobra. To stamtąd, z lewego brzegu tej dolnośląskiej rzeki podchodzili pod Krosno zachodni najeźdźcy.

W takiej oto scenerii rozsiadł się szeroko rozbudowany system polskich umocnień z pierwszych lat XI wieku, odszukany i zbadany przez mgr Edwarda Dąbrowskiego, archeologa z Zielonej Góry, który dziś jest naszym przewodnikiem. Stosując się do jego wskazówek, zjeżdżamy do miasteczka, parkujemy „Nysę" na pustawym placyku i przez żelazny mostek przechodzimy ponad ciemną, zastałą wodą starorzecza. To pierwotne ujście Bobra. Dziś wpada on do Odry nieco bardziej na zachód, nowym korytem, przekopanym w końcu ubiegłego stulecia. Dalej wąska ścieżka wiedzie nas na ledwo widoczne, płaskawe wyniesienie. Kępa drzew, płoty, parę niewielkich budynków. W prawo — wcale bystry nurt odrzany, za nim wysoko spiętrzony, północny brzeg. W lewo i na wprost zieleń rozległych łąk. Trudno o bardziej banalny skrawek rzecznego wybrzeża.

Tu właśnie stał przed wiekami krośnieński gród; najważniejszy rygiel strzegący zachodniej granicy, główna przeszkoda na drodze niemieckich najazdów. Jego usytuowanie na lewym (południowym) brzegu Odry i również na lewym (zachodnim) brzegu Bobra świadczy, że grał rolę przyczółka. Bronił przeprawy, ale zarazem umożliwiał szybkie przejście do działań zaczepnych. Wzmacniały go rozległe wały okrężne, przemyślnie wkomponowane w kręte pasma bagien i starorzeczy. Całość tworzyła obszerne półkole ogarniające w widłach obu rzek przestrzeń dostateczną dla pomieszczenia licznych, nawet wielotysięcznych wojsk. Zachodniego krańca łuku strzegł gród krośnieński. Na wschodnim czuwał gród w dzisiejszym Gostchorzu, wyniosła strażnica na prawym brzegu Odry, skąd można sięgnąć wzrokiem na wiele kilometrów w górę wielkiej rzeki. Mogło się zdawać, że wszystkie te umocnienia, poparte kilkoma tysiącami dobrych łuków, włóczni, toporów i mieczów wystarczą, aby zatrzymać inwazję.

Nie wystarczyły. „Kiedy Król (Henryk niemiecki w r. 1005 nie nosił jeszcze cesarskiej korony) zabawiwszy tam siedem dni, jął przygotowywać już okręty i mosty. Opatrzność Boża wskazała wysłanym przezeń wywiadowcom bardzo wygodny bród na rzece. Z brzaskiem dnia sześć legii udało się tam na rozkaz Króla i skorzystało bezpiecznie z owego brodu. Straż Bolesława, która zauważyła to z daleka, zaniosła czym prędzej swemu władcy tę smutną i trudną do wiary wiadomość. Ten upewniwszy się wreszcie przez trzykrotnie czy więcej nawet razy wysyłanych wywiadowców, zwinął szybko obóz i uciekł wraz ze swoimi, pozostawiając na miejscu liczne dobra. Król przyglądając się temu bacznie wraz ze swoimi.. przeprawił się bezpiecznie przez rzekę. Ci zaś, którzy się pierwej przeprawili, byliby dopadli nieprzyjaciół w namiotach, gdyby nie musieli czekać na ociągających się w marszu Wieletów".

Obrona linii Odry pod Krosnem zakończyła się zatem niespodziewaną klęską Polaków. Kto zawinił? Dlaczego Bolesław nie zabezpieczył zawczasu owego „bardzo dogodnego brodu"? Czyżby o nim nie wiedział, choć miał przecież w swoim obozie miejscowych ludzi, dobrze znających okolicę? A może odkryta przez Niemców przeprawa była nieznana nawet mieszkańcom Krosna? Domysł taki na pozór tylko wydaje się nieprawdopodobny. Nie zapominajmy, że opisywane wypadki rozgrywały się w połowie września, przy niskim stanie wód w rzece, która w dodatku płynęła wówczas jak chciała, zmieniając nurt i koryto, usypując nowe mielizny, zatapiając stare. Mogły więc tworzyć się okresowe brody tam, gdzie ich się nikt nie spodziewał. Warto dodać, że w sto lat po bitwie krośnieńskiej Niemcy znów przeszli Odrę, tym razem pod Głogowem przez taki właśnie przypadkiem odkryty bród „w miejscu, gdzie nikt tego nie oczekiwał, i gdzie nikt przedtem się nie przeprawiał". Cóż, każdy historyk wojskowy, i każdy praktyk wojskowy wie, jak trudnym zadaniem jest obrona linii rzecznej!

Gdzie mogła nastąpić niemiecka przeprawa w r. 1005? Według wszelkiego prawdopodobieństwa stało się to poniżej Krosna i w dość znacz-

Dalszy ciąg na str. 4

JEDNA Z BABIŃCA

Dalszy ciąg ze str. 1

jest już dorosły, pracuje w kopalni, drugi prawie dorosły, co dzień o piątej rano jeździ tramwajem do Łodzi do technikum, nie ma z nim kłopotu, chętnie się uczy. Mąż jest od niedawna na rencie i częściowo przejął ciężar prowadzenia domu. Tyle że ona sama już nie ma tych sił co dawniej i w samą porę przyszła ta mężowska pomoc. Mniej się też już może udzielać społecznie.

Do pracy społecznej została wciągnięta jeszcze w czterdziestym piątym roku. Przez miasto przeszedł front i choć słabo już dochodziły odgłosy salw artyleryjskich miała przed oczami obraz tego, co działo się tam, na pierwszej linii strzałów. Widziała te setki noszy z rannymi, których zwożono do polowego szpitala. Szpital był radziecki.

Powiedziała mężowi, że zgłosi się tam ochotniczo, chciała być potrzebna. I całe tygodnie spędziła przy rannych. Tak się to zaczęło. I na dwa lata zapomniała swego wyuczonego podczas okupacji zawodu.

Potem wróciła do fabryki. Była już wtedy działaczką Ligi Kobiet, fabryka też była kobieca.

— Kobiety niechętnie szły wtedy do prac społecznych i to mnie zgubiło — próbuje zażartować. — Gdzież mnie wtedy nie powołano.

Była radnym wszystkich szczebli rad narodowych, członkiem komisji rewizyjnej KW i egzekutywy KP, członkiem prezydium Zarządu Głównego Związku Włókniarzy, delegatem na III Zjazd partii, wreszcie posłanką na Sejm.

Posłanką wybrano ją w kadencji 1952—56, zapisała się właśnie do szkoły, chciała uzupełnić wykształcenie, zdobyć maturę. Jeden rok nauki zaliczyła, gdy wystawiono jej kandydaturę i wszystkie plany osobiste diabli wzięli, chociaż się broniła. Powiedziano jej jednak: Ministrem przecież i tak nie zostaniesz, a szkoła nie ucieknie. Ty potrafisz gadać z prostymi ludźmi, zrobisz dobrą robotę.

Rzuciła szkołę i jeździła po wsiach. Każdej niedzieli była w terenie agitować chłopów, w święto najłatwiej było zebrać ludzi po wsiach. Na wyjazdach tych poznała problemy rolnictwa, często trzeba było zapomnieć o agitce i po prostu pomóc ludziom. Chłopi nieraz byli rozżaleni i zebrania były gorące. Pamięta, że w jakiejś wsi któryś z chłopów nawet ubliżył, ale inni go ofuknęli: Miarkuj, że to kobieta. Jakby incydent zupełnie nie miał miejsca spokojnie poprowadziła dyskusję. Ten chłop potem do niej podszedł i powiedział: Pani niech się pani nie gniewa, bo ja byłem rozżalony spotkała mnie krzywda.

Prośby przedkładane przez rolników były często trudne do załatwienia. Załatwienie każdej sprawy wymagało uporu i chodzenia. Dużo było wtedy dreptania, a w zakładzie też nie ubywało zajęć, czuła się już zmęczona. Więc kiedy uporała się jako tako z bieżącymi sprawami, wzięła urlop i pojechała na wczasy.

Nie chciała, aby tam, poza domem, gdzie miała przecież odpocząć, wszystko zaczęło się od nowa, zataiła, że jest posłanką. Nawet nikt nie wiedział, że jest dyrektorem fabryki. Mieszkała w zbiorowym pokoju, kobiety zwierzały się ze swych zajęć, były tramwajarkami, ekspedientkami, nauczycielkami. Powiedziała im, że jest szwaczką. Zżyła się z nimi, razem wracała pociągiem, jak one wszystkie drugą klasą. Te pociągi wakacyjne są bardzo zatłoczone, był upał i zasłabła. Musiała przejść do pierwszej klasy.

Posłom na Sejm przysługuje bezpłatny przejazd, ale kobiety, koleżanki z wczasów nie wiedziały przecież, że ona jest posłem. Kiedy przeszła do luźnego przedziału pierwszej klasy, niektóre poszły za nią, ażeby jej pomóc. Potem stały w korytarzu pulmanu i wyglądały konduktora, ażeby ją ostrzec. Ale konduktor zjawił się tak nieoczekiwanie, że opiekunki ledwie same zdążyły zemknąć. Jedna z nich, śmielsza, wróciła po chwili i zauważyła, że konduktor salutuje pasażerce na gapę, która trzyma w ręce jakąś legitymację. Później kobiety spytały: Co mu tam pani pokazała za dowód?

— To była chyba najtrudniejsza chwila. Ale przyszedł mi do głowy szczęśliwy pomysł. Kolejarski, powiedziałam, mąż jest kolejarzem.

Mąż jest przędzalnikiem. Poznała go, kiedy pracowała jako ekspedientka w sklepie galanteryjno-spożywczym pani Swarzyńskiej w Łodzi na ulicy Rokicińskiej. W trzydziestym siódmym pobrali się, pomimo protestów pryncypałowej, która miała ambicję wydać swoją pracownicę za jakiegoś drobnego sklepikarza.

— Mówiła, że zasługuję na coś więcej. Cóż może dać robotnik, mówiła. Ale to ja niewiele mogłam dać mężowi przy tylu obowiązkach zawodowych i społecznych.

Pierwsze lata małżeństwa to był jej okres chyba najszczęśliwszy. Mogła nareszcie nie pracować, od czternastego roku życia stała za ladą, więc to małżeństwo jakby wróciło jej dzieciństwo. Inne szczęśliwe momenty? Pauza i zupełnie innym głosem:

— Napije się pan kawy? Bo mnie już w gardle zaschło od tego gadania.

Otwiera szafę i wyciąga stamtąd jakąś torbę, potem zostawia mnie samego w gabinecie.

— Chwileczkę — mówi na odchodne — pójdę gdzieś zdobyć wrzątku.

Wraca z czajnikiem w ręce i sama krząta się przy filiżankach.

— Zawsze tak rodzinnie? — pytam.

— Zawsze, bo nie mam sekretarki. Wolałam dać produkcji jeszcze jeden etat.

Potem pijemy kawę i ja znowu pytam.

Inne szczęśliwe momenty? Właściwie nigdy nie myślała na ten temat. Przykre? Tak, to już łatwiej, ból się widać pamięta lepiej niż szczęście. Więc bardzo ją to zraniło, że starszy syn nie dostał się na studia. Chciał być marynarzem. Odrzucono go na komisji lekarskiej, ale to był pretekst. I jeszcze ją zraniło, kiedy w październiku 1956 r. w fabryce, jedna z kobiet darła się na całą halę: Dajcie jej nauczkę, że nam kazała jeździć do żniw.

— Sama też jeździłam, to były czasy, że wszyscy jeździli.

To przykre wspomnienie skojarzyło jej się z drugim, szczęśliwym. To było pod koniec roku, kiedy zgodnie z tradycją przyjętą w zakładzie wygłaszała do kobiet przemówienie noworoczne. Sama o tym zapomniała, że akurat mija dziesięciolecie jej pracy. I zdziwiła się widząc w hali przedstawicieli powiatu i województwa. Zaproponowała, żeby poszli do jej gabinetu i tam poczekali. „My tutaj poczekamy" — powiedzieli jakoś tajemniczo. Zbliżyła się do jednego ze stołów i zaczęła mówić. Nie od razu też zorientowała się, dlaczego ludzie powitali tych kilka słów huraganową burzą oklasków. Zaraz potem kobiety powchodziły na stoły, zauważyła, że niewielka grupka kobiet zbliża się do niej z kwiatami. Pracownice stojące na stołach przepychały się wzajemnie, chcąc za wszelką cenę dostrzec tę, która wręczy wiązankę.

— To była ta sama, która kiedyś publicznie wypominała mi żniwa. Byłam wzruszona, rozpłakałam się. Tamta też się rozbeczała. Jest ode mnie dużo starsza i powiedziała po imieniu: — Dziecko, wybacz. Inne kobiety podarowały mi wiersze, które same napisały.

Scena ta tak się w niej odświeżyła, że jak wtedy ma łzy w oczach.

— No widzi pan, teraz już sama wiem, które zdarzenie uznać za najszczęśliwsze w życiu. Mam zresztą miejsce zarezerwowane na jeszcze jedno: jeśli młodszy syn dostanie się na studia. Chociaż sama już w to nie wierzę. Dzisiaj tak trudno dostać się na uczelnię uczniowi z prowincji.

Jej samej nie udało się zrealizować marzeń o uzupełnieniu wykształcenia. W pięćdziesiątym siódmym chodziła wprawdzie na specjalne studium, ale rozchorowała się wtedy ciężko, przeszła szpital, operację i zrozumiała, że ze zwątlonym zdrowiem nie podoła już tym dodatkowym, szkolnym obowiązkom.

W jej wieku już się musi liczyć ze zdrowiem. To nie ten czas, gdy brała na siebie tyle obowiązków, że nawet teraz nie rozumie, jak mogła temu wszystkiemu podołać. Więc chciałaby, aby ją zmienił ktoś młodszy, wykształcony. W tej chwili, od zaraz. Ona mu pomoże, bo zna tu przecież wszystko. Zakładów nie chce porzucać, ma nadzieję dopracować tu do renty, chce sobie tylko zmienić stanowisko na lżejsze.

Nie boi się starości. Właściwie marzy o tym, że będzie mogła kiedyś poświęcić wnukom czas, którego nie mogła poświęcić swoim synom. Należy jej się chyba trochę szczęścia, takiego zupełnie prywatnego, zupełnie własnego. Chyba nie ma zbyt wygórowanych wymagań.

Czy marzyła kiedykolwiek w dzieciństwie, że będzie dyrektorem fabryki, że ją wybiorą posłanką, że będzie robiła sto innych rzeczy, o których nawet nie słyszała stojąc za ladą sklepu pani Swarzyńskiej? A jednak, gdyby mogła swoje życie zacząć od początku, zacząć świadomie, uczyłaby się, wiele uczyła. Bo najwięcej ją boli, że kiedy synom mówi, uczcie się chłopcy, to najważniejsze, kręcą głowami i mówią zaraz: Mama, a ty?

— Mama, a ty? — mówią mi i nie wiem jak im odpowiedzieć.

KONRAD FREJDLICH

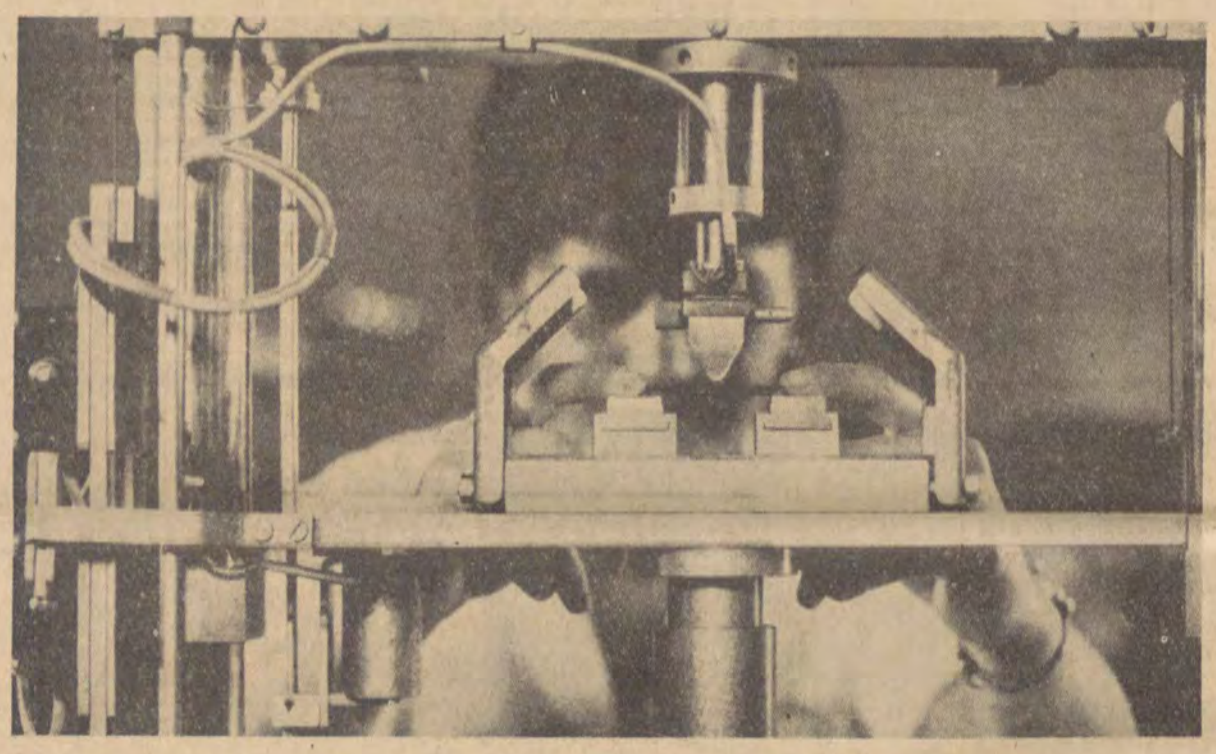

KROSNO – STRAŻNICA NAD ODRĄ

Dalszy ciąg ze str. 3

nej odległości od niego. Bolesław, który obsadziwszy częścią sił krośnieńskie przedmoście obozował z resztą zapewne na prawym brzegu Odry, miał dość czasu, aby popierwszym alarmie sprawdzić istotne rozmiary niebezpieczeństwa i dopiero wówczas zarządzić odwrót. Ze słów kronikarza wynika jednoznacznie, że uratował przy tym całe wojsko, nawet tych, którzy byli w przedmościu. W ręce Niemców, Czechów i Wieletów wpadły tylko łupy w porzuconym obozie. Zwycięstwo Henryka było niewątpliwie efektowne, ale mogło się okazać jałowe. Wszystko zależało od tego czy polskie siły zbrojne zachowały zdolność do dalszej walki.

Początkowo armia niemiecko-czesko-wielecka ciągnęła przez Międzyrzecz ku Poznaniowi, nie napotykając po drodze na żaden poważniejszy opór. Ale na przedpolu stołecznego grodu Polski Bolesławowskiej, zaznaczyła się znów aktywność sił polskich i to nie byle jaka. „Wojsko... które rozdzieliło się dla zebrania żywności i innych potrzebnych materiałów, poniosło wielkie straty od nieprzyjaciół, którzy zaatakowali je z zasadzki" relacjonuje Thietmar. Zatrzymano się o dwie mile od Poznania. Były ostatnie dni września, może nawet początek października. Dowództwo niemieckie doskonale wiedziało, że przed nadejściem słot jesiennych trzeba wrócić do domu nad Łabę. Powrót ten byłby ciężki nawet po zwycięskim szturmie Poznania. Po szturmie nieudanym — mógł się zamienić w zupełną katastrofę. Najeźdźcom zabrakło sił i tchu, dla wywalczenia rozstrzygnięcia. Zawarto kompromisowy pokój poznański (opis rokowań pokojowych i towarzyszącej im „wojny nerwów" to bodaj najświetniejsze karty epopei Gołubiewa). Niemcy wygrali w tym roku wiele bitew, nie wygrali wojny. Nie po raz ostatni zresztą w swej historii.

W dziesięć lat później, w r. 1015, pod tym samym Krosnem, doszło ponownie do walnej rozprawy i szczęście ponownie przechyliło się na stronę Niemców. Przebyli Odrę, odrzucili broniące ją wojska polskiego następcy tronu Mieszka Bolesławowica (późniejszy Mieszko II). Ale tym razem armia niemiecka utknęła gdzieś między Krosnem a Międzyrzeczem. W odwrocie, dopadnięta przez Chrobrego poniosła krwawą klęskę w dniu 1 września. Mało kto wie, że już wówczas ten dzień nabierał historycznej treści...

Dlaczego ponawiające się sukcesy niemieckie pod Krosnem pozostawały jałowe? Dlaczego ostatecznie wiodły do klęski? W najlepszym razie do wątpliwego kompromisu? Dlaczego w początku XI wieku Rzesza nie mogła sobie poradzić z Polską, partnerem niewątpliwie słabszym? Bo byliśmy słabsi. Wystarczy porównać liczby: król niemiecki, będący zarazem rzymskim cesarzem miał około 3.500.000 poddanych (do których trzeba jeszcze doliczyć sprzymierzonych Czechów i i Wieletów), książę polski nie więcej niż 1.000.000—1.125.000. Poziom rozwoju ekonomicznego Niemiec wschodnich i środkowych nie różnił się prawie wcale, albo i wcale od poziomu Polski, ale ich ziemie zachodnie i południowo-zachodnie, Nadrenia zwłaszcza, korzystały w całej pełni ze spuścizny rzymskiej i karolińskiej; należały do najlepiej rozwiniętych krajów Europy. Słynęły z produkcji uzbrojenia (taki wczesnośredniowieczny Krupp!). Nasz Chrobry był niewątpliwie wodzem wybitnym, ale i Henrykowi II nie brakło wojennych talentów. Gdzie zatem szukać przyczyny? Czyżby w rycerskiej fantazji Lechitów, którzy, jak to wieść nie tyle gminna, co dziennikarska niesie, tradycyjnie zwykli wyżywać się w zwycięskich szarżach na dziesięciokroć liczniejszego wroga? Zapewne, biliśmy na ogół dobrze, ale i wśród Niemców nie brakło „dobrych pachołków", jakby rzekł pan Wołodyjowski. W dodatku ten ułańsko-szwoleżerski obraz naszej wojennej przeszłości, gloryfikowany lub potępiany przez ludzi pióra (zależnie od aktualnej mody), a zawsze chyba wywołujący pobłażliwe ruszenie ramion u tych co jako tako znają się na wojnie, dziwnie jakoś nie pasuje do wypadków rozgrywających się pod wałami Krosna. Jeśli były tam szarże, to... w kierunku akurat odwrotnym od nieprzyjaciela. Aż dusza rośnie na myśl, jak nasi musieli wiać na wieść, że Niemcy są tam, gdzie być wcale nie powinni!

Wojna ma swoje nieugięte prawa. Wynika z nich, iż zwycięża ten, kto ma przewagę. Bóg jest po stronie silniejszych batalionów — powiedział Napoleon, niezły przecież fachowiec w tej dziedzinie. Ale przewaga nie zawsze i nie tylko mierzy się w liczbie walczących i w ich uzbrojeniu. Gdyby tak było, Amerykanie dawno daliby sobie radę z partyzantami z południowego Wietnamu. Trzeba tu jeszcze doliczać takie czynniki jak ustrój społeczno-gospodarczy, taktykę i sprawność bojową obu stron, umiejętności dowództwa, warunki terenowe i klimatyczne teatru wojennego. Właśnie wśród tych czynników były takie, które grały na korzyść Polski wczesnośredniowiecznej.

Państwo Mieszka i Bolesława Chrobrego to typowa monarchia wczesnofeudalna, o mocnej władzy centralnej, popartej siłą drużyny książęcej. Drużyna, doborowe oddziały zawodowych wojowników, stanowiła zarazem rdzeń całego wojska. Sprężystość dowództwa, zdyscyplinowanie sił zbrojnych było w tych warunkach stosunkowo znaczne. Inaczej u Niemców! Bardziej zaawansowany rozwój feudalizmu doprowadził do tego, że cesarz prowadził armię niejednolitą, złożoną z kontyngentów wystawionych przez licznych wielkich feudałów, świeckich i duchownych. Każdy arcybiskup, margraf czy hercog politykował i wojował po trosze na własną rękę. Jeśli widział w tym swój interes, gotów był posunąć się do buntu, nawet do zdrady. Wiódł z sobą oddziały sprawne i doskonale zbrojne, nie tak jednak liczne jakby się można spodziewać. Wielkim panom nie na rękę było odrywanie poddanych od pracy na roli. Na wyprawę ciągnęli zatem rycerze; chłopi pozostawali w domu. W dodatku wojna z Polską interesowała Niemców z pogranicznych marchii, wysysających słowiańskie ziemie nad Łabą. Interesowała na pewno Sasów i Bawarów. Ale Frankowie, Alamanowie i Lotaryńczycy ciążyli raczej ku zachodowi i mniej widzieli korzyści w długich i ciężkich wyprawach do dalekiego kraju na wschodzie. Widzieliśmy, że kraj ten był nie tylko daleki, ale i trudno dostępny. Dopiero po sforsowaniu licznych pomniejszych przeszkód i przebyciu Odry (jak właśnie pod Krosnem) można było szukać rozstrzygnięcia wojny — jeśli jeszcze czasu na to starczyło. A nigdy nie było go wiele. Pora dogodna dla prowadzenia wielkiej wyprawy obejmowała raptem około 10 tygodni, mniej więcej od połowy lipca do końca września, najwyżej do połowy października. W tym tylko czasie, po żniwach, można było wyżywić wojsko z zasobów najechanego kraju, a zarazem stosunkowo łatwo radzić sobie z pokonywaniem licznych bagien, strumieni i rzek osuszonych przez letnie upały. Rozstrzygnięcie wyprawy musiało nastąpić przed końcem wczesnej, „złotej" jesieni. W przeciwnym wypadku groził odwrót w zimnie, deszczu i błocie, o głodzie i — z nieprzyjacielem na karku.

W tych warunkach obrońca miał zadanie łatwiejsze. Wystarczyło jeśli potrafił umiejętnie grać na zwłokę, unikać rozbicia w otwartej bitwie, zmuszać najeźdźców do przewlekłych oblężeń i walk o przeprawy, do rozpraszania sił w poszukiwaniu żywności i paszy. Czas, teren i pogoda działały na jego korzyść, nawet jeśli agresorzy mieli za sobą przewagę liczby i uzbrojenia. Dlatego właśnie dwukrotna polska przegrana pod Krosnem pozostała epizodem bez znaczenia, nie zaważyła ostatecznie na szali wypadków. Spieszny odwrót znad brzegów Odry ratujący żywą siłę wojska, oszczędzający ją do dalszych działań chlubnie świadczy o Chrobrym i o jego wojownikach. Bo dobrym żołnierzem nie jest ten, który nigdy nie musiał się cofać, ale ten właśnie, który dzielnie potrafi przetrwać „złe dni" porażki i odwrotu, nie tracąc chęci do dalszej walki, nie uznając się za pobitego. Dlatego wojsko Księstwa Warszawskiego słusznie szczyciło się wyprowadzeniem w r. 1812 spod Moskwy wszystkich swoich dział i sztandarów. Dlatego Mickiewiczowski kapitan Rykow z „Pana Tadeusza" ze słuszną dumą wśród swych „ośmiu medali" wymieniał ten, który dostał „za Korsakowa słynną rejteradę spod Zürich". Rejterady też mogą być słynne. Także i tamte spod Krosna w 1005 i 1015 roku.

ANDRZEJ NADOLSKI

OPPENHEIMER

Aula uniwersytetu w Princetown — czerwiec 1966. Zgarbiony, bardzo chudy człowiek o twarzy naznaczonej cierpieniem dźwiga się z krzesła i podpierając się laską podchodzi do mikrofonu. Robert Oppenheimer dziękuje rektorowi za przyznane odznaczenie. Przyjaciele wiedzą, że to ostatnie publiczne wystąpienie wielkiego fizyka, którego siły słabną z każdym dniem. Głos uczonego drży. Oppenheimer wie, że dziś żegna na zawsze świat nauki, wie, że odchodzi, musi więc pozostawić testament. Jego ostatnie słowa, to wołanie o pokój. Wiele krajów ma bomby atomowe — świat zmierza ku katastrofie — trzeba zrobić wszystko, aby jej zapobiec. Wielkie mocarstwa muszą zaniechać produkcji broni nuklearnej, muszą zniszczyć własne jej zapasy!

Propozycja wydała się tak utopijna, że gazety skwitowały ją krótką tylko wzmianką. Ale słowa te, wypowiedziane właśnie przez Oppenheimera, ujawniają dramat jaki przeżył ten, który broni atomowej dał początek.

* * *

16 czerwca 1945 roku nad pustynią Alamogordo wzniósł się o świcie atomowy grzyb. W tym dniu Oppenheimer czytał słowa indyjskiego poety: „Stałem się śmiercią, zniszczeniem świata". To zdanie prześladowało go bardzo długo aż wyzna: „Tego dnia my, naukowcy, poznaliśmy grzech".

Urodził się w N. Jorku w 1904 roku, w bogatej rodzinie żydowskiej i bardzo wcześnie ujawnił niepospolity talent. Już w liceum nauczyciele zasięgali jego zdania, gdy chodziło o najnowsze teorie naukowe. W Harward, studia chemiczne ukończył w ciągu trzech lat, otrzymał dyplom „summa cum laude", potem studiował grekę i łacinę. W 1926 i 1927 uzyskuje następne dwa doktoraty, a w 1929 25-letni Oppenheimer zostaje profesorem uniwersytetu w Berkley i Instytutu Technologii w Kalifornii. W obu tych placówkach naukowych zakłada największe chyba na świecie szkoły fizyki teoretycznej.

Zainteresowania Oppenheimera były bardzo szerokie — literatura, muzyka, sztuka — znał również osiem języków. Żył w dziwnym świecie. „Polityka, ekonomia — mówił później — były mi całkowicie obce. Nie czytałem gazet, nie miałem ani radia, ani telefonu. O wielkim kryzysie ekonomicznym w 1929 dowiedziałem się dopiero w rok później. Pierwszy raz głosowałem w wyborach prezydenckich w 1936 roku".

W 1936 Oppenheimer opowiedział się wyraźnie po stronie radykalnej lewicy. Stało się to pod wpływem komunistki Jean Tatlock, którą gorąco kochał i której wielokrotnie proponował małżeństwo.

Opinia sprzyjania komunistom nie przeszkodziła w powierzeniu wielkiemu fizykowi pracy nad konstrukcją bomby atomowej i stanowiska dyrektora laboratoriów broni jądrowej.

W ciągu paru miesięcy Oppenheimer zgrupował wokół siebie, w atomowym mieście w Los Alamos, najznakomitszych amerykańskich fizyków — jak Enrico Fermi, który pierwszy dokonał reakcji łańcuchowej, czy Edward Teller.

Przez dwa lata Oppenheimer pracował szesnaście godzin na dobę, nie szczędząc sił ani zdrowia. W 1945 Sekretariat Stanu oświadczył: „Bomba atomowa została skonstruowana. Jest to zasługą genialnego Oppenheimera".

Z końcem 1945 Oppenheimer opuścił Los Alamos i wrócił na uniwersytet. Odtąd dążeniem jego życia było czynić wszystko, aby nie dopuścić do użycia broni atomowej. Był duszą Planu Barucha — międzynarodowej kontroli rozbrojenia.

Jako twórca bomby A i przewodniczący Komitetu Doradczego Komisji Energii Atomowej, Oppenheimer cieszył się ogromnym autorytetem w świecie nauki. Ścierał się tylko z Tellerem, który pozostał w Los Alamos i tam doskonalił nowe bronie.

Do pierwszej scysji między uczonymi doszło w 1954. Wtedy ZSRR dokonał pierwszej nuklearnej eksplozji, a rząd Stanów Zjednoczonych postanowił rozpocząć serię doświadczeń z bombą H. Komisja Doradcza, której przewodniczył Oppenheimer, wyraziła kategoryczny sprzeciw, motywując swoje stanowisko całkowitą bezużytecznością strategiczną tej bomby i dużymi trudnościami natury technicznej. Jednak prezydent Truman projekt zatwierdził, a w parę miesięcy później Teller rozwiązał problem reakcji termojądrowej. Wówczas zrodziło się u niektórych osób podejrzenie, że Oppenheimer, idąc na rękę Rosjanom, celowo przeciwstawiał się pracom nad bombą H. Lewis Strauss — przewodniczący Komisji Energii Atomowej, zarzucił Oppenheimerowi sabotaż. FBI doszła do wniosku, że uczony jest prawdopodobnie agentem radzieckim. Prezydent Eisenhower wydał natychmiast rozkaz, aby „wznieść nieprzenikniony mur między Oppenheimerem i wszelkimi tajemnicami państwowymi".

W dniu 12 kwietnia Komisja Energii Atomowej rozpoczela trwające przeszło miesiąc przesłuchanie Oppenheimera, jeden z najbrudniejszych faktów w historii amerykańskiej demokracji. „Sędziami" byli członkowie Komisji Thomas Morgan, Ward Evans i Gordon Gray. Robert Robb — adwokat Komisji — w roli prokuratora traktował Oppenheimera jak zwykłego przestępcę, przez wiele dni brutalnie przetrząsał jego prywatne życie Wciśnięty w kąt kanapy, Oppenheimer wodził po zebranych nieobecnym wzrokiem, a kiedy go pytano odpowiadał bez przekonania.

42 najwybitniejszych naukowców amerykańskich ręczyło, że Oppenheimer oddany bez reszty sprawie pokoju działał w jego obronie.

W ostatnim dniu przesłuchania zjawił się profesor Edward Teller, twórca bomby H. Zapytany przez prokuratora czy uważa, że oskarżony zagraża bezpieczeństwu Stanów, Teller odpowiada: „Wolałbym, aby interesy naszego kraju powierzone były bardziej pewnym rękom". — Te słowa przesądziły sprawę. Robert Oppenheimer usunięty został ze wszystkich stanowisk państwowych.

Mijały lata. W 1963 prezydent Kennedy zdecydował się rehabilitować uczonego i pogodzić go z Tellerem. Ale tragedia w Dallas położyła kres tym zamiarom. Nadeszła jednak chwila, kiedy Oppenheimer otrzymał zaproszenie do Białego Domu. Był tam również Teller. Najpierw przemówił prezydent Johnson. Potem zapadła cisza. Oppenheimer podziękował prezydentowi za zaszczyt jaki go spotkał i w milczeniu uścisnął rękę Tellera. To było wszystko. Co wielki uczony myślał w tej chwili, nie dowiemy się nigdy.

A może silniej niż wszystko ciążył mu cień atomowego grzyba.

Oprac. M. TYMOWSKA

BOGDA MADEJ

Tylko dla dorosłych

Instruktorka patrzy na zegarek, czeka przez chwilę i podaje komendę: — Uwaga, zbliża się skurcz, teraz, oddychamy! — Szybciej, głębiej, głębiej. Dobrze, skurcz mija, rozluźniamy mięśnie, odpoczywamy.

Ćwiczące na matach kobiety już niedługo będą matkami, a mimo to gimnastykują się bardzo sprawnie, choć to wydaje się dziwne, bez wysiłku.

Pora wyjaśnić, że jesteśmy w łódzkiej Szkole Matek, która działa przy Towarzystwie Świadomego Macierzyństwa. Oprócz przygotowania do porodu młode matki zdobywają tu wiadomości, które już niedługo będą dla nich niezbędne, uczą się pielęgnacji niemowląt. W początkach swojej działalności Szkoła Matek nie cieszyła się największą frekwencją, w tej chwili ilość uczestniczek kursu często „przekracza normę". Szkoła wystąpiła z ciekawą inicjatywą: — zaprosiła na pogadanki o pielęgnacji niemowląt również przyszłych ojców, którzy bez żenady przewijają, kąpią i ubierają ćwiczeniową lalkę oraz skrupulatnie zapisują informacje o tym, jak odżywiać niemowlęta i jak właściwie opiekować się ciężarną żoną. Wypada tylko życzyć szkole, aby w przyszłości, z powodu wspaniałej frekwencji małżonków, musiała zmienić nazwę na szkołę matek i ojców.

Łódzki Oddział Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa pracuje od roku 1953. Start placówki był ciężki nie tylko z powodu normalnych przy każdym początku trudności organizacyjnych; nie wystarczały ogólne wskazania i metody stosowane w innych miastach. Specyfika środowiska łódzkiego, gdzie przeważająca liczba kobiet pracuje zawodowo w przemyśle, wymagała wypracowania własnych metod. Z początku organizowano odczyty i pogadanki w zakładach pracy, potem w środowisku młodzieży szkolnej, studenckiej i zetemesowskiej, z którą zresztą współpraca układała się najgorzej. Do przezwyciężenia był trudny problem. — Odważna teza planowania rodziny i w związku z tym propaganda środków antykoncepcyjnych, z jaką wystąpiło Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa, w wielu kręgach spotykała się z brakiem zrozumienia, często wręcz z niechęcią. Wskazanie społeczeństwu problemów, które do tej pory były tajemnicą małżeńskich sypialni, wydawało się niektórym nieprzyzwoitą ingerencją w ich intymne sprawy. Że jednak świadome macierzyństwo przyjęło się, nie trzeba nikogo przekonywać, o tym że środki antykoncepcyjne również, świadczy chociażby fakt, że do Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa zgłasza się w tej chwili o połowę mniej kobiet ze skierowaniami na przerwanie ciąży, niż w ubiegłych latach.

Przez wiele lat Łódzki Oddział Towarzystwa pertraktował z władzami oświatowymi w sprawie wprowadzenia do szkół problematyki seksualnej. Oponenci twierdzili, iż nie trzeba zbyt wcześnie wprowadzać młodzieży w problematykę życia seksualnego, że może to skierować zainteresowanie młodych ludzi tylko na tę dziedzinę życia. Anonimowe ankiety przeprowadzane czasem w starszych klasach przyniosły, szczególnie dla oponentów, wręcz zaskakujące wyniki. Niektóre pytania zadawane przez 15- i 16-latków dowiodły, że młodzież doskonale się orientuje w sprawach, które chciano przed nią ukryć, często je upraszczając i wulgaryzując. W tej sytuacji właściwe omówienie problematyki seksualnej z uwzględnieniem przede wszystkim strony etycznej i moralnej przez pedagogów okazało się koniecznością. W efekcie, już w bieżącym roku szkolnym na lekcjach wychowawczych i biologii omawia się z uczniami odpowiednio przygotowane zagadnienia z tej dziedziny. Wszystkim nauczycielom, którzy mają kłopoty zarówno z wyselekcjonowaniem odpowiedniego materiału, jak i przekazania go w przystępnej formie wychowankom, przekazujemy wiadomość, którą uzyskaliśmy w Towarzystwie Świadomego Macierzyństwa: już niedługo ukażą się skrypty, opracowane przez działające przy Towarzystwie z wybitnym naukowcem prof. Cwynarem na czele, Koło Seksuologów.

Przy Towarzystwie istniała również, wydaje się bardzo potrzebna instytucja, po której została do dnia dzisiejszego tylko tabliczka na drzwiach — Poradnia Przedślubna. O jej powstaniu zadecydowali młodzi ludzie, którzy po odczytach i pogadankach często zgłaszali potrzebę powołania do życia takiej właśnie placówki. Niestety, z niewiadomych powodów, może spowodowała to po prostu nie najszczęśliwsza lokalizacja, może niedostateczne informacje, kandydaci na małżonków prawie nie korzystali z jej usług. W tej sytuacji poradnię zlikwidowano, a na jej miejsce wprowadzono w śródmiejskim USC spotkania par narzeczeńskich z lekarzem seksuologiem i prawnikiem. Impreza dowiodła, że takie „oswobodzenie się" z przyszłymi problemami jest nie tylko pożyteczne, ale i potrzebne. Kto wie, czy zresztą nie było to zasługą przede wszystkim dra A. Barczewskiego, wiceprzewodniczącego TSM w Łodzi, który w lutym obchodził pierwszą rocznicę swej niezwykle potrzebnej, odpowiedzialnej i cieszącej się dużym uznaniem pracy, mogącej nosić tytuł „Porady seksuologa". Niezorientowanym należy się wyjaśnienie: przy Towarzystwie pracuje nie tylko Poradnia Świadomego Macierzyństwa, w której lekarz-ginekolog i wykwalifikowane pielęgniarki służą pomocą kobietom, lecz i poradnia seksuologiczna, w której dr Barczewski przyjmuje również mężczyzn. I tu znów dotknęliśmy problemu, jak osiągnąć harmonię współżycia seksualnego tak, aby obie strony wyniosły z tego równorzędne zadowolenie, który to problem jeszcze do niedawna stanowił w naszym społeczeństwie swoiste tabu. Że w dalszym ciągu sprawy te nie są ustawione na właściwej płaszczyźnie, świadczy ciekawa dyskusja, którą można było niedawno śledzić na łamach „Żyjmy dłużej". Opublikowano tam list jednej z czytelniczek, która skarżyła się, że pożycie z mężem przyniosło jej głębokie rozczarowanie. Posypała się lawina listów, z których znaczna część omawiała poruszony problem w formie rzeczowej dyskusji, ale były i takie, które odsyłały autorkę listu na ulicę, sprowadzając jej wymagania do zainteresowań i potrzeb... prostytutek. Na szczęście, listów takich było znacznie mniej.

Seksuologia jako odrębna dziedzina wiedzy medycznej zaczyna się w Polsce dopiero rozwijać. Nie ma u nas jeszcze katedry seksuologii, a trzej specjaliści z tej dziedziny kształcili się za granicą i potem swoją wiedzę przekazywali nielicznym, wytrwałym do końca słuchaczom seminaryjnym. Stąd też stale zbyt małe możliwości fachowej porady u seksuologa, stąd olbrzymi popyt na wszelkie poważniejsze publikacje z tej dziedziny, stąd wreszcie długa lista pacjentów, którzy cierpliwie czekają na wyznaczony termin wizyty w poradni dra Barczewskiego. Granica wieku pacjentów olbrzymia i zaskakująca — od 12 do 70 lat. Najczęstsze przypadki to zaburzenia seksualne o podłożu nerwicowym u mężczyzn, oziębłość seksualna u kobiet. Trzeba tu dodać, że to ostatnie zjawisko według niektórych statystyk sięga 80 proc., zdarza się często, że po odczytach zgłaszają się starsze kobiety, które dopiero teraz mogły stwierdzić seksualną oziębłość u siebie. Oczywiście zjawisko to, zależne od szeregu czynników, z których największą rolę odgrywają: nastawienie psychiczne kobiety, wreszcie przygotowanie dwojga ludzi do życia seksualnego, bardzo często wymaga rozmów lekarza z obu partnerami. Twierdzeniom niektórych, że ta dziedzina życia małżeńskiego nie odgrywa, i nie powinna odgrywać, większej roli, przeczy praktyka lekarska dra Barczewskiego, który już nieraz pomógł małżeństwom, zdawałoby się nie do uratowania.

Przytoczona powyżej granica wieku pacjentów może dziwić, więc kilka słów wyjaśnień. Najmłodszą pacjentką poradni była 12-letnia dziewczynka. Współżycie seksualne zaczęła traktować jako swoiste hobby. Ten przypadek wcale nieodosobniony, można traktować jako najmocniejszy argument w dyskusji o potrzebie wprowadzenia do szkół pogadanek poruszających problemy seksualne; najstarsi pacjenci to mężczyźni, którzy dawno już przebyli okres przekwitania i wciąż jeszcze nie mogą się pogodzić z jego konsekwencjami. Poradę znajdują zresztą wszyscy, którzy się zgłoszą: konsultacje doktora z pacjentami rzadko tylko trwają krócej niż godzinę, ostatni pacjent często opuszcza poradnię po godzinie 23.

Tyle w dużym skrócie o pracy Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa i działających przy nim poradni w Łodzi. Odważnym ludziom z odważnej, a przecież tak potrzebnej placówki należy życzyć więcej takich pacjentów, jak młoda matka, która po szczęśliwym rozwiązaniu przyszła do Szkoły Matek z kwiatami.

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

dmuchawce

— Nie! — krzyknęła głośnym szeptem. — Nie! Nie! Nie!

Powierzchnią napiętych ramion wyczuwała jego mięśnie zwierające się wokół niej.

— Nie! — powtórzyła głośniej.

— Dlaczego nie? No, dlaczego nie? — pytał pieszczotliwie z ustami za jej uchem. Odgięła się mocno do tyłu, żeby jej nie mógł dosięgnąć pocałunek.

Zadzwonił telefon. Wówczas on obszedł biurko, podniósł słuchawkę. Wsparł się udem o krawędź i potakiwał.

— Halo? Tak. Tak. Kiedy?

Lena zabrała teczkę i zagarnęła swoje rozsypane fotosy konieczne do tej rozmowy, ale ostatecznie zbędne, skierowała się w stronę drzwi. Mężczyzna wyciągnął rękę gestem zastępującym słowo: „stop!".

— Chwileczkę — powiedział; osłonił dłonią mikrofon. — Teksty. Muszę przecież pani dać teksty. Pojutrze próba głosu.

Wróciła. Stanęła przy oknie, tyłem do rozmawiającego. Zajęła się wciąganiem rękawiczek, były czarne, z wydłużonymi mankietami. Wzięła je dziś rano z szuflady starszej siostry. Bez pytania. Chciała wyglądać elegancko.

Słuchawkę położono cicho, bez najmniejszego dźwięku. Nie było słychać kroków. Dopiero słowa:

— Jaka wysoka!

Dłonie mężczyzny przesunęły się po jej biodrach. Odwróciła się błyskawicznie. Miał zwyczajny wyraz twarzy, jakby nie wiedział nic o działalności swoich rąk. Oschle i dosyć głośno zapytał:

— Ile pani ma lat?

— Osiemnaście... skończę za sześć tygodni.

— Osiemnaście... Dojrzała kobieta!

Postanowiła panować nad sobą. Wygładzała starannie lewą rękawiczkę, potem zajęła się nakładaniem prawej. Obserwowała dyskretnie zachowanie mężczyzny. Drżały mu ręce. Przy zapalaniu papierosa było to szczególnie widoczne. Zdumiewająca sprawa! Lena nie mogła ochłonąć z podziwu. Jak sztubak — i to z tych smarkatych — umizgający się do koleżanki, mającej aż osiemnaście lat.

— A to historia! — pomyślała. — Jaka szkoda, że nie będą mogła tego nikomu powtórzyć. Ani koleżankom, ani Jurkowi. Pech!

— Przyglądałem się pani przez te dni, kiedy trwał konkurs recytatorski. Romantyczna sylwetka pani... Włosy związane czarną wstążką. To się nazywa jak? Aksamitka?

— Gdyby mi się śniło — myśli Lena — ze śmiechu przewróciłabym się na drugi bok. A tu muszę trzymać twarz. I jemu chyba nie mogę dać w papę?

— Napijemy się kawy?

— Bardzo żałuję. Muszę już iść.

— Dwie minuty.

— Dziękuję, nie. Czekam tylko na teksty...

— Jest gotowa. Ja zawsze piję o tej porze.

— Tylko z kim? — zastanawia się Lena. — Co też widują ściany tego pokoju?

— Proszę mi nie odmawiać. Inaczej myślałbym, że pani się na mnie pogniewała.

Przysunął jej kawę. Cukier. Usiadł. Ramieniem objął jej fotel.

— Ale dlaczego? — dziwił się. — Dlaczego taka zakonnica? Zakonnice też są ludźmi... Więc romantyzm nie tylko w stylu fryzury i ubierania się? W poglądach także?

Patrzyła na niego z bliska. Mocny kark, wygolone policzki, gęstwa spadających na czoło włosów. Żywotna siła przekwitającego mężczyzny.

— Dlaczego jest pani uparta? Może miłość i wierność? Ależ nie warto być wierną do przesady!... Nikt na to nie zasługuje. Przekona się pani.

— Ty stary łotrze — myśli Lena, patrząc w oczy podnieconego mężczyzny — więc to dlatego mnie wezwałeś. Ja tu przyszłam jako człowiek. Przynoszę wszystkie młodzieńcze marzenia. Wystąpić przed pełną po brzegi widownią. Teatr, to dla mnie sprawa święta. Bardziej, niż film nawet. Miałam nadzieję, że mogę liczyć na „życzliwą krytykę". Przez trzy kwadranse kazałeś sobie opowiadać o moich planach artystycznych. A potem jeszcze, na jakie nasz zespół cierpi „bolączki". Notowałeś. I kiwałeś głową. Zrobisz, ile się da. Już dziś wiem, że figę zrobisz.

Przysunął się do niej.

— Ile razy pani natrafi na trudności... proszę... w sprawach zespołu, czy własnych... Od tego tu jestem i zawsze chętnie służę. Do mnie jak w dym! Zdjęcia trzeba będzie powtórzyć. Amatorszczyzna. Sam będę panią fotografował w naszym atelier. Dziś wieczorem.

— A ja wierzyłam, że ten facet coś robi. Że nie myśli wyłącznie o łowach...

Kawa się skończyła, natomiast on sprzykrzył sobie najwidoczniej obejmowanie fotela.

— Musisz jednak być moja. Bardzo tego pragnę. Nie zgadujesz nawet, mała, jak umiem zadowolić kobietę. Wierz mi. Jeżeli chcesz, przekonasz się o tym za chwilę.

— Więc to może prawda, co mówili facecjoniści, że gdy w atelier wybuchł kiedyś pożar, on uciekał w popłochu spomiędzy zwojów eksplodującej płomieniami taśmy filmowej, nie pamiętając o pozostawionej tam, oplątanej w purpurowy tiul nagiej modelce. Od uduszenia uratowali ją zatrudnieni w wytwórni robotnicy, przygodni świadkowie zdarzenia i zarazem pierwsza publiczność pechowej aktorki. Ale ja nie lubię płacić za próbne zdjęcia.

Wstała. On także. Chwycił ją w ramiona próbując dotknąć piersi. Szamotali się. W tej chwili po szybach zaciął piasek. U szczytu nieba rozsypał się grzmot. Chmury spadły na dół, ultrafiolet zdawał się widoczny. Pociemniało. Lunął deszcz.

Rys. Barbara Pawlikowska

— Kurtyna! — powiedział z uniesieniem. — Opadła kurtyna. Jesteśmy sami. Nie broń się. Bądź dobra...

Skrzyżowała ręce, wykręciła głowę do tyłu. Deszcz łomotał. Tłukł z hałasem o blaszane parapety.

— Proszę puścić — powiedziała ze wściekłością. Była raczej zdecydowana gryźć, niż odwołać się do ludzkiego zbiegowiska, chociaż mogła je zwołać jednym okrzykiem. Raczej uchodzić za kamień, aniżeli dać się „zdobyć". Unikała jego dotknięć. Odgradzała się ramionami.

Mężczyzna nie reagował na jej zachowanie. Przymknął oczy. Chwytał oddech otwartymi ustami, jakby płakał. Twarz zmieniła mu się w groteskową, pełną błazeńskiego natchnienia maskę. Nagle przestał z nią walczyć, opuścił ramiona. Milczał.

Sięgnęła po teczkę.

— Współczuję ci — powiedział zapalając papierosa. — Jesteś taka naiwna. Mogłaś doznać ze mną wspaniałych rzeczy. Nie każdy mężczyzna da ci rozkosz. Ech ty, naiwna!

Szła szybko w stronę drzwi. Zamknęła je za sobą i spotkała wzrok asystenta przeglądającego w sąsiednim pomieszczeniu taśmy filmowe. Wówczas oblało ją gorąco. Przyspieszonym krokiem uciekła na schody.

Asystent wsunął głowę do gabinetu. Czekał, aż jego szef odezwie się pierwszy.

— No, co?

— Zostały już tylko trzy osoby.

— Wszystko z konkursu recytatorskiego?

— Tak. Same gwiazdy. Każda marzy o wyścigowym Jaguarze... willa na Riwierze... te rzeczy. Prosić?

— Za chwilę — powiedział dyrektor. Udawał, że jest czymś zajęty. Patrzył na dziedziniec, gdzie w deszczu, który ledwo poruszał powierzchnią kałuż, bardzo wolno szła Lena. Wymijała każdy rowek i większą nierówność.

Westchnął jak człowiek od dawna przeciążony pracą. Składał fotosy zaścielające niemal całe biurko.

— Trzeba — powiedział — tysiące przepuścić przez ten pokój, ocenić, potrzymać w ręce, zanim się coś znajdzie odpowiedniego dla nas.

— O, tak! — asystent przytakiwał, jak często się dało.

— Tysiące! Między tysiącami chałturzystek, miernot, papug i diabeł wie czego błyśnie czasami talent. Indywidualność. Od razu się to wyczuje. Wtedy trzeba chronić. Izolować od artystycznego targowiska. Żeby jak najdłużej ustrzec od wpływów, od póz. Ogrom na większość debiutantów traci swoje dziewictwo formy razem z pierwszym filmem, z pierwszą sztuką. Potem zaczyna się rzemiosło, cynizm. Oni mówią „warsztat". A to po prostu szewska robota.

Westchnął. Nie przestawał patrzeć w okno. Zastanawiał się dlaczego Lena stąpa tak ostrożnie, jakby miała pod nogami ziemię nabitą szkłem.

— Czasami jakiś człowiek ani myśli o sztuce. Ma głos, aparycję, talent. Pewnego dnia bierze udział w konkursie recytatorskim. Odkrywamy go dzięki naszym wysiłkom. Okazuje się nagle, że wykazał niezwykłą świeżość ujęć. Tego nigdzie nie uczą...

Asystent pochylał głowę przy wszelkich pauzach.

— O, taaak! A, jasne, jasne...

— Te młode talenty, wie pan — podjął dyrektor znowu tonem łaskawej pogawędki — wymagają troskliwości. To kruche, zielone, wiotkie. Po prostu dmuchawce. Dmuchawce... Chuchniesz — i po zabawie. Czego się pan śmieje?

— Eee, nic takiego...

— No? Słucham.

— A, bo fryzury miewają faktycznie w stylu dmuchawca.

— Więc, tego... Wrażliwość ogromna. Trzeba się zająć od pierwszej chwili każdym talentem.

Lena wyszła za bramę. Rozejrzała się po ulicy. W oknie kawiarni spostrzegła znajomą postać. Uniosła dłoń, pokiwała. Młody mężczyzna zniknął i za chwilę szedł przez jezdnię.

Stanął przed nią. Milczał. Trwało to dość długo.

— Zmizerniałaś — szepnął — odczuwał skruchę... Wprawdzie na urodę bardzo ci to pomogło. Nadzwyczajnie! Jeszcze nigdy nie widziałem u ciebie takich interesujących, znużonych oczu.

— Dziękuję!

— Czego chciał od ciebie ten wyskubany Don Juan?

— Ach! Proponuje mi próbne zdjęcia do filmu.

— To znakomicie! Kiedy?

— Chciałby dziś wieczorem.

— Powiedz, a jaki on jest w rozmowie?

— Dla mnie zero. W źrenicach, mózgu. Cały stragan z zerami.

— Ładna historia! Wyrobiłaś sobie szybkościowo pogląd na faceta... No, ale to bardzo korzystne, żeś go poznała. Podobno gość jest obrotny, sporo może. Słuchaj, a wiesz? O nim opowiadają, że mu koledzy zainstalowali aparat podsłuchowy. Dobre, co?

— Gdzieee?

— W studio. Wyobrażasz sobie, co za nagrania mogą być z tego?

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH". W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (—) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelniczych Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów", na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96.

	+	—
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obyczajowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
felietony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach"?

Nazwisko i imię . . . . . .

wiek . . . . . .

zawód . . . . . .

adres . . . . . .

ROMAN ŁOBODA

Panta rei

Gdy matka rodziła
pękła przestrzeń
różowo zabarwiła się woda

Nad wodą
chłopcy bez rąk bez nóg
wyrośniętych
chcą pływać

Krzyczą
Wodo wodo
nie mogą oderwać głosu
w trwodze że nie przeminą
wołają

Echo echa
roznoszą
pod sam próg nocy

Wtedy nachyla się niebo
cień kładąc na trawie
pod drzewem które usycha

Chłopcy z długimi
więdnącymi brodami
umierają szczęśliwi że
jednak przeminęli siebie
zakorzenionych

Położenie

Patrzę

Jest ich dwóch
trzymają byka za rogi

Byk wbił kopyta w piach

Patrzę

jest ich czterech
przybiegli porzucając ciepłe objęcia kochanek

Byk naprężył grzbiet

Patrzę

jest ich trzydziestu dwóch
wyskoczyli z krzaków zostawiając butelki
i na byka

Byk pochylił łeb

Patrzę

jest ich doliczyć się nie mogę
z pociągu wypluci zaspani
i za byka się biorą

Byk ma przekrwione oczy
i pianę na pysku

Patrzę

i biegnę sam
do nich
rozpływam się
byk ryczy
nie mam oparcia
słaniam się
Byk
w tym położeniu
karku
trzeszczą kręgi
padam

O jakże okrutnie boli
to ciągłe patrzenie

JAN KOPROWSKI

tamto dwudziestolecie

Im dalej od tamtego dwudziestolecia (1918—1939), tym więcej przybywa dokumentów, rozbudowujących naszą wiedzę o międzywojennym okresie i rozświetlających mroczne czy niezbyt jasne dla nas sprawy. Zarówno w pracach publicystyczno-naukowych jak i w pamiętnikach wybitnych osobistości coraz mniej znajdujemy uproszczeń i łatwych, pośpiesznych uogólnień, natomiast poczyna dochodzić do głosu obiektywizm i dążność do sprawiedliwych osądów i wydarzeń. Wśród publikacji szczególnie cennych dwie, moim zdaniem, zasługują na wyróżnienie: „Polska lat 1926—1935" (La Pologne de Pilsudski) Jules Laroche'a oraz „Agresja niemiecka" (L'agression Allemande contre la Pologne) Leona Noela. Obydwaj byli ambasadorami Francji w Warszawie — Laroche od przewrotu majowego do śmierci Piłsudskiego, Noel od śmierci Piłsudskiego aż do momentu napaści wojsk hitlerowskich na Polskę, ale książki ich ukazały się w porządku odwrotnym. Najpierw więc przeczytałem pamiętnik Noela, a dopiero w kilka miesięcy później (czyli obecnie) wspomnienia Laroche'a. I jeden i drugi należeli do tak zwanych zawodowych dyplomatów, byli ludźmi wykształconymi i o dużym doświadczeniu w służbie zagranicznej. Obu też cechował życzliwy stosunek do Polski, co lekturę ich wspomnień czyni dla nas tym bardziej atrakcyjną.

Naturalnie i Noel i Laroche starali się w swoich wspomnieniach przedstawić w sposób możliwie dodatni własne zasługi i podnieść rolę polityczną kraju, który reprezentowali. Mimo tych wysiłków przebija z ich kart prawda, a jest ona (ta prawda) nie zawsze dla Francji najkorzystniejsza. Zresztą to właśnie świadczy o obiektywizmie obu autorów. Nie wiem jak inni, lecz ja jedną rzecz z pamiętnika Noela odczytuję jako fakt nie budzący żadnych wątpliwości: drogę do zwycięstw Hitlera otworzyła mu sama Francja, jej słabość i niezdecydowanie, żeby nie powiedzieć: rozkład wewnętrzny państwa — w momencie, gdy wyłoniła się sprawa remilitaryzacji Nadrenii. Kiedy w pamiętną sobotę, 7 marca 1936 roku, Hitler oświadczył w Reichstagu, że Niemcy nie będą więcej uznawać zasad traktatu wersalskiego, nakazujących demilitaryzację strefy nadreńskiej, oznajmiając zarazem, że w tej samej chwili wojska wkraczają do Nadrenii — Francja nie kiwnęła nawet palcem w bucie. Jakież z tego powodu było rozgoryczenie wielu krajów, w tym również i Polski! Jeżeli Francuzi — mówiono — nie zdobyli się na żadne wystąpienie, gdy w grę wchodziły ich własne interesy, to cóż dopiero, gdy zagrożeni zostaną ich sojusznicy. A przecież Hitler był wtedy jeszcze słaby i wszystko było do wygrania.

Noel pisze: „Skutki remilitaryzacji Nadrenii, jak również nasza bezsilność wobec aktu, który za jednym zamachem burzył cały nasz system polityczny i militarny, były wprost katastrofalne". Hitler, ośmielony bezradnością Francji i kunktatorstwem Anglii, szedł od sukcesu do sukcesu, a państwa zachodnioeuropejskie nie były w stanie zagrodzić mu drogi. I Noel i Laroche bardzo krytycznie oceniają politykę Becka, zwłaszcza po śmierci Piłsudskiego. Nie odmawiając Beckowi inteligencji i talentu, zarzucali mu nieszczerość w stosunku do zaprzyjaźnionej Francji, kokietowanie Niemiec, arogancję i nieliczenie się z realną rzeczywistością. Natomiast Laroche z uznaniem, a niekiedy wręcz z podziwem wyraża się o Piłsudskim. Był to, jego zdaniem człowiek dalekowzroczny, osobowość żywa i bogata, człowiek oceniający nader trafnie słabość Francji i obłudę polityki angielskiej.

A swoją drogą gorzkie nasuwają się refleksje na marginesie lektury obu tych książek. Wynika z nich dość melancholijny wniosek, że dyplomaci bardzo często wcale nie są mądrzejsi od tak zwanego szarego człowieka, że historia niewiele ich uczy, że stare błędy nie chronią od popełniania nowych, słowem: dyplomaci to nie nadludzie, lecz istoty tak samo podlegające działaniu ambicji, kariery, zawiści i innych grzechów śmiertelnych. Instytutowi Wydawniczemu „Pax", który ogłosił drukiem pamiętniki Noela i Laroche'a, i Stanisławowi Zabielle, który je starannie opracował, należą się słowa wdzięczności.

Z fotografiki czeskiej.

M. Gregor.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

WIERSZE BEZ TYTUŁÓW

Nie nadaje tytułów Wacław Mrozowski swoim wierszom zebranym w tomiku pt. „Z Johnem Barleycornem". Bo też dziwne to wiersze. Skupione wszystkie wokół jednego tematu, natrętnie powtarzające jeden i ten sam motyw namiętności rozpaczliwej i smutnej — motyw alkoholizmu. I zarazem są to wiersze przewrotne, bowiem ich zaskakujący ekshibicjonizm każe czytelnikowi zastanawiać się nad granicą zawartej tu szczerości autorskiej. Problem ten jednak nie wydaje się być najważniejszy. Bo przecież równie dobrze możemy mieć tutaj do czynienia nie z lirycznym pamiętnikiem poety, ale ze świadomym konstruowaniem bohatera lirycznego. Wówczas wyznanie poety: „Oto wycinek mej biografii wtajemniczonym tylko znany" stanie się mistyfikacją. W przypadku wierszy Mrozowskiego jest to jednak zawsze mistyfikacja artystyczna, stojąca na usługach specyficznego charakteru tej poezji.

Nie chodzi jej autorowi ani o oryginalność formalną, ani nawet o nowatorstwo tematyczne. Mowa jest tutaj o miłości, o życiu, o chorobie, o śmierci. Tylko że nad tym wszystkim istnieje... alkohol i tajemniczy, szyderczy przyjaciel — sobowtór — londyńczyk John Barleycorn. Jego to obecność sprawia, że poezja ta, zapatrzona w siebie i jakby dla siebie tylko istniejąca, potrafi wytworzyć specyficzną aurę smutku, odosobnienia i intymności. Jest przy tym delikatna i nienatrętna w mówieniu o rzeczach zbyt osobistych i zbyt trudnych dla liryki, która nie chce być banalną.

Tomik Wacława Mrozowskiego jest chyba pierwszym w poezji polskiej zbiorem wierszy całkowicie poświęconym tematyce pijaństwa. W liryce współczesnej często porusza te tematy Roman Śliwonik, lecz robi to w sposób zupełnie odmienny, w sposób, w którym mistyfikacja poetycka szyta jest chyba zbyt grubymi ściegami. U Mrozowskiego natomiast nie ma nic z pozy, więcej natomiast szczerości ubranej w formę tradycyjnego, regularnego niemal zawsze wiersza. Mówi o sobie z delikatną nutą ironii: „romantyk w świetle awangardy — czegóż chcieć więcej?" Nie stara się zresztą ukrywać swoich powinowactw. Już na początku tomiku rozpoznajemy strofę starego wagabundy — Burnsa. Nieco dalej bohater wierszy przemawia ustami schorowanego Lieberta; jeszcze gdzie indziej znajdujemy zadumę włóczęgi — Jesienina, sentymentalną beztroskę Gałczyńskiego lub ostrość wiersza tuwimowskiego. A przy tym wszystkim świadomość niewystarczalności własnej poezji dla wyrażenia tego, co mogłoby się stać bardziej własnością czytelnika, niż twórcy...

Gdy w alkoholu toną muzy,
rdzą pokrywają się klawisze,
instrument się rozwala w gruzy.
Sam się skazałem na banicję
milczenia...

Wiersze te to poezja „koszmarnych snów" — ale bez widziadeł, poezja „nocy w malignie" ale bez gorączki, poezja „cmentarzysk wspomnień" — ale bez grobów. Zadziwia tutaj prostota i umiar w mówieniu rzeczy nierzadko wulgarnych, w mówieniu na temat, który dla autora stał się obsesją. Poeta stale żawiruje na granicy banalności. A jeśli nawet słowa są banalne, to niebanalny jest dramat ukryty gdzieś między nimi, dramat ukryty w przemilczeniu tych rzeczy, których ciężaru wiersz unieść nie może. Przynajmniej wiersz tak osobisty jak osobista jest ta poezja. Poezja alkoholiczna.

„Cena milczenia jest okrutna..."

Wacław Mrozowski: „Z Johnem Barleycornem", Lublin, 1966, Wydawnictwo Lubelskie.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jan Bolesław Ożóg — SPOKÓJ — PIW, cena zł 10.—

Anna Kamieńska — ODWOŁANIE MITU — PIW, cena zł 10.—

Antonio Machado — SERCE I KAMIEŃ — PIW, cena zł. 15.—

Zygmunt Kaczkowski — BRACIA ŚLUBNI T. I/II — W. Lit., cena zł 42.—

Ivo Andric — PORTRET RODZINNY — PIW, cena zł 12.—

Aniela Łączyńska — INFUŁY i SZYSZAKI, KiW, cena zł 10.

Erich M. Remarque — ŁUK TRIUMFALNY, Czytelnik, cena zł 36.

Jan B. Ożóg — JEMIOŁA, LSW cena zł 10.

Mieczysława Mitera-Dobrowolska — Kom. Edukacji Narodowej PZWS cena zł 18.50.

Tadeusz Stepowski — OD WIELUNIA DIABEŁ HULA, W. Łódzkie, cena zł 20.

Bolesław Prus — KRONIKI t. 16, PIW, cena zł 50.

Henryk Sienkiewicz — QUO VADIS, PIW, cena zł 60.

Władysław Machejek — NA SUMATRZE, Czytelnik.

Adam Bahdaj — ORDER Z KSIĘŻYCA, W. Łódź., cena zł 18.

JERZY ZAPLETAL

Polska literatura piękna w Czechosłowacji

Literatura polska miała zawsze w bibliotekach publicznych i prywatnych biblioteczkach czytelników czechosłowackich miejsce, jakie za zwyczaj rezerwuje się dla rzeczy bliskich i oczywiście przyjemnych. W ostatnich kilku latach zainteresowanie dla tej literatury jeszcze wzrosło, do czego dostosować się musiały i wydawnictwa. W związku z tym na uwagę zasługuje fakt, że jakkolwiek czytelnik czuje się już znużony literaturą o tematyce wojennej i okupacyjnej, to jednak nawet w tej dziedzinie pojawiły się dzieła cieszące się powodzeniem, zwłaszcza że przyniosły nowe, pełniejsze i sprawiedliwsze spojrzenie na skomplikowaną problematykę i bohaterstwo polskiego ruchu oporu. Tego rodzaju książką są np. „Kolumbowie" Bratnego. Nieustająca popularność „Popiołu i diamentu" Andrzejewskiego, doprowadziła do reedycji powieści w wydawnictwie „Odeon".

Z niektórymi autorami polskimi — a to nie tylko z pokolenia najmłodszego — czytelnicy czechosłowaccy zapoznali się po raz pierwszy. Wielkim powodzeniem cieszyły się np. 2 książki, Tadeusza Brezy — „Spiżowa brama" i „Urząd". Inni autorzy, w Czechosłowacji już znani, zaskoczyli swych czytelników nowym rodzajem twórczości, jak np. Gałczyński swymi mikrodramatycznymi groteskami „Zielona gęś".

Na ogół można powiedzieć, że wydawnictwa czechosłowackie obecnie interesują się głównie polską literaturą XX wieku, a przede wszystkim literaturą współczesną. Daje się to zauważyć także w wydawnictwie „Odeon" które wydaje dzieła klasyczne. Po czterotomowych „Pismach" Mickiewicza, wydanych w latach 1953—57, wydawane są dzieła Bolesława Prusa, Henryka Sienkiewicza i Stefana Żeromskiego. Jednakże poszczególne utwory tych pisarzy ukazują się oddzielnie, nie w wydaniach zbiorowych.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wydawane są także i sztuki teatralne, między innymi Kruczkowskiego, Fredry, Mrożka i innych.

Wydawnictwa czechosłowackie wcale nie ulegają jakiejś modnej fali, która preferowałaby np. tylko dzieła młodszego pokolenia. Ukazały się opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza „Koronki weneckie", wybór „Myśli nieuczesanych" Stanisława Jerzego Leca, „W deszczu" Stanisława Wygodzkiego, „Jeniec i dziewczyna" K. Filipowicza itp.

O ile chodzi o poezję, to ukazały się przede wszystkim dalsze zbiory poetów już dawniej wydawanych. Jan Pilar najpilniejszy tłumacz poezji polskiej, na język czeski, wydał książkę „Niobe" obejmującą poezję znanej trójki poetyckiej Gałczyńskiego, Broniewskiego i Tuwima. Później przetłumaczył Gałczyńskiego „Zaczarowaną dorożkę" i — jak już wspomnieliśmy — jego „Zielona gęś" oraz Tuwima „Sokratesa tańczącego". Przetłumaczył również „Łabędzia i lirę" Staffa oraz wiersze Harasymowicza, które wyjdą w roku 1967 pod tytułem „Suma zieleni" (Soucet zelene).

Vlasta Drozackova przetłumaczyła drugi zbiorek poezji Tadeusza Różewicza „Rozmowa" oraz Wisławy Szymborskiej „Sól". Wraz z Mirosławem Holubem wydała w wolnym przekładzie Zbigniewa Herberta „Studium przedmiotu".

Można powiedzieć, że polskie dzieła literackie wydawane są bodaj przez wszystkie czechosłowackie wydawnictwa. Z nowych nazwisk, w pamięci czytelników utkwiła np. Zofia Posmysz (jej „Pasażerka" w krótkim stosunkowo czasie wyszła już w drugim wydaniu), dalej Julia Hartwig, Włodzimierz Odojewski i inni.

O wzrastającym zainteresowaniu dla literatury polskiej w Czechosłowacji świadczą najwymowniej nakłady polskich tytułów, wydawanych w ramach Klubu Czytelników. W latach 1953 i 1954 powieść I. Neverlego „Pamiątka z Celulozy" wydana została w nakładzie 20.000 egzemplarzy, „Obywatele" K. Brandysa w nakładzie 14.000 egzemplarzy. W roku 1957 „Potop" Sienkiewicza osiągnął 71.000 egzemplarzy, Zapolskiej „Kaśka Kariatyda" 86.000 egzemplarzy, w następnym roku „Faraon" Prusa 105.000 egzemplarzy, w roku 1963 „Spiżowa brama" Brezy 82.000 egzemplarzy.

Ponieważ w planach wydawnictw czechosłowackich na rok 1967 znowu znajduje się szereg znakomitych polskich nazwisk (przygotowywane jest np. wydanie Iwaszkiewicza „Sławy i Chwały", nowe książki Andrzejewskiego, Dygata, Leca i in.), można wnioskować, że na czechosłowackim rynku księgarskim literatura polska zdoła utrzymać swą pozycję i że do wielu dotychczasowych miłośników polskiej literatury pięknej dołączą się dalsi.

W Czechosłowacji nie brak dobrych tłumaczy z języka polskiego. Niemniej jednak, zgon nestora tłumaczy z języka polskiego w ub. roku był dla czeskiej polonistyki poważnym ciosem. Był nim były konsul czechosłowacki w Poznaniu prof. dr Jaromir — Doležal, zapalony działacz na polu czechosłowacko-polskiej współpracy kulturalnej. Jego ostatnim przekładem było opowiadanie Puchalskiego o ekspedycji przyrodniczej na Spitsbergen „Śnieżny etap", które w roku 1965 wydało Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej.

MARIA KORNATOWSKA

WINNA BYŁA MAMA...

Jerzy Bossak w „Ekranie" słusznie zwrócił uwagę na fakt, że dyskusja nad upadkiem polskiego filmu zdołała już przybrać apokaliptyczne rozmiary, wypierając z łamów naszej prasy takie klęski narodowe jak np. fatalną gastronomię. Istotnie grafomania w innych dziedzinach sztuki nie stanowi tak wdzięcznego pola dla rozmaitej natury rozważań jak właśnie grafomania filmowa. A przecież już choćby ze względu na ograniczoną produkcję, mamy znacznie mniej grafomanów-reżyserów niż grafomanów-literatów. Tak to już bywa, że co najwięcej kosztuje, najbardziej sercu drogie. Ponadto w przypadku literatury sprawa jest bardziej oczywista. Nie można zwalać odpowiedzialności na złą jakość papieru, brzydką czcionkę i grzechy wydawcy. Mówi się więc po prostu, że pisarz nie ma talentu, albo nie ma nic do powiedzenia, albo nie zna reguł gramatyki itd.

Nasi krytycy filmowi próbowali skatalogować wszelkie możliwe przyczyny aktualnego kryzysu polskiej kinematografii. Przypomina się stara piosenka: „Winna była mama, mamy to był błąd...". Jedną z zasadniczych przyczyn okazał się np. brak producentów itd. itd. Każdy jak mógł starał się dorzucić własną cegiełkę do owych przyczyn. Dyskusje jak wiadomo nie oznaczają konieczności zabrania się do „czynów stali" ale wpływają krzepiąco na samopoczucie uczestników. A zatem na wiosenną frustrację...

Twórczość kinematograficzna płynie dwoma zasadniczymi i to związanymi ze sobą nurtami: rozrywkowym i artystycznym. Film rozrywkowy to wyrób wysoce zorganizowanego przemysłu, zgrabnie zrobiony i ładnie opakowany. Wymaga znających swój fach rzemieślników, dobrych scenariuszy z prawdziwego zdarzenia, dobrego i dobrze obsadzonego aktorstwa. Produkujemy w tej chwili sporo filmów tzw. rozrywkowych. Są to jednak nieporadne, chałupnicze twory, że przypomnę „Ścianę czarownic", „Małżeństwo z rozsądku", „Gdzie jest trzeci król" itd. Po prostu buble. Autorzy powyższych i wielu im podobnych wyrobów z taśmy celuloidowej są bowiem kiepskimi rzemieślnikami. Co gorsza, ponieważ tylko w powieściach dla młodzieży, ludzie uczą się na własnych błędach, nie ma żadnej nadziei, żeby jeszcze w tym stuleciu zostali dobrymi fachowcami. Tym bardziej, a świadczą o tym obficie udzielane wypowiedzi dla prasy, że są oni bardzo z siebie zadowoleni. Grożą nawet następnymi filmami.

Mamy jeszcze nurt artystyczny, który nie zawsze jest artystyczny, ale odznaczać się powinien przynajmniej ambicjami. W tym przypadku obok sprawności zawodowej reżyser winien posiadać jeszcze odrobinę talentu i mieć coś do powiedzenia. Nie są to z pewnością rzeczy miłe dla niektórych, lecz w sztuce liczą się talenty, a nie miernoty. Nie pomogą Zespoły, producenci, komisje scenariuszowe, jeśli ktoś nie urodził się „artystą". Nie pomogą najlepsze nawet chęci. W przyrodzie istnieje prawo doboru naturalnego. Jeżeli reżyser Jędryka lub Poręba zrobili ileś tam fatalnych filmów i ani jednego dobrego, to czy nie należałoby, przynajmniej chwilowo, zrezygnować z ich usług? Producenci nie powierzają swych pieniędzy reżyserom, którzy się nie sprawdzają. Nie bawmy się w filantropię, bo to jest ze szkodą i dla nas wszystkich i dla samych reżyserów, których nazwiska wymieniłam tu przykładowo, bo rzecz tyczy także wielu innych ich kolegów po fachu.

Musi istnieć jakaś konkurencja, rywalizacja, w której słabszemu groziłoby niebezpieczeństwo odpadnięcia. Tylko wówczas można liczyć na podciąganie się owych słabszych, na stopniowe doskonalenie kadr filmowych. W końcu trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Robotnik, który produkuje wybrakowany towar ponosi za to jakąś odpowiedzialność z utratą pracy włącznie. A jaką odpowiedzialność ponosi artysta-filmowiec? Staje się co najwyżej przedmiotem dociekliwych artykułów lub złośliwych uwag felietonistów i karykaturzystów, co, kto wie, przy pewnych skłonnościach psychicznych może nawet pochlebiać jego próżności. Bądź co bądź ciągle pisze się o nim w prasie. Zyskuje popularność. Nie lękajmy się radykalnych cięć, nawet jeśliby to miało grozić przejściowym spadkiem produkcji filmowej. Wprowadźmy kult fachowości i w tej dziedzinie. Każmy ich uczyć. Nie popierajmy miernoty, bo nie ma nic gorszego niż zadowolona z siebie miernota. Przestańmy wyszukiwać coraz to nowe alibi dla usprawiedliwienia naszych benjaminków.

O poziomie niektórych reżyserów świadczy fakt, że imają się każdego, najbzdurniejszego nawet scenariusza, jaki wpadnie im w ręce. Bardzo łatwo, mimo szumnych oświadczeń rezygnują z ambicji i uprawiają tanią, ordynarną chałturę, niegodną wcale miana filmu rozrywkowego, melodramatu itd. nie mówiąc już o sztuce.

Talent i rzemiosło to jeszcze nie wszystko, oczywiście. Sztuka, żadna sztuka, a tym bardziej tak przeszczalna, tak heterogenna jak film nie rodzi się w pustce. Stanowi owoc pomyślnego klimatu kulturalnego, fermentu intelektualnego. Jak powiada znakomity estetyk włoski Luigi Russo: „Geniusz nie jest nigdy improwizacją, fajerwerkiem, wybuchem na powierzchni. Geniusz jest historią, kulturą i tradycją". Historia sztuki filmowej poucza nas, że wielkie szkoły, wielkie indywidualności nie pojawiają się samotnie, w izolacji od innych zjawisk kulturalno-artystycznych. Neorealizm włoski powstał w atmosferze fermentu intelektualnego i ideowego, głębokich przemian w życiu narodowym. Co więcej, neorealizm, tak bogaty i różnorodny w swoich przejawach artystycznych, wyrósł z określonej postawy moralnej wobec rzeczywistości, postawy, którą Bazin nazwał rewolucyjnym humanizmem. Podobnie można by powiedzieć o angielskich „gniewnych" albo znakomitej szkole czeskiej. **„Cud czeskiego kina jest w tej samej mierze zasługą tradycji czeskiej sztuki, ogólnego ożywienia intelektualnego, talentu twórców, ich szczerego nonkonformizmu i zaangażowania moralnego".** U nas trzeba to ze smutkiem przyznać, trudno mówić o twórczym fermencie. Środowiska artystyczno-inteligenckie wyraźnie ustabilizowały się i marzą o samochodach oraz zagranicznych wojażach. Nasza tradycja dostarcza filmowi ciągle tych samych rekwizytów: szabli, białych koni, sfrustrowanych kombatantów i cnotliwych. W różnych dziedzinach sztuki powstają od czasu do czasu rzeczy wybitne czy też interesujące, ale wszystko to dzieje się w odosobnieniu. Brak wzajemnych wpływów, infiltracji, dążenia do integracji. Film w tej sytuacji nie posiada zatem organicznej gleby dla swego rozwoju. Z drugiej strony wzbudza podziw konsekwencja z jaką nasi autorzy filmowi unikają wszelkiego autentycznego zaangażowania, wszelkiej postawy moralnej. Jedyny niemal chlubny wyjątek stanowiło ostatnimi czasy „Miejsce dla jednego" Lesiewicza. Nie tak dawno, podczas „Konfrontacji 66" mogliśmy się przekonać, że najciekawsze dzieła dzisiejszej sztuki filmowej pasjonują się istotnymi problemami współczesnego człowieka, próbując dotrzeć do jego wnętrza, odczytać jego prawdę, znaleźć miarę dobra i zła, granice człowieczeństwa. Filmy Antonioniego, Bressona, Bergmana pełne są niepokoju, znaków zapytania, refleksji. Jednocześnie u ich podłoża tkwi poczucie współodpowiedzialności moralnej artysty. Za gładkim obliczem części polskich filmów nie kryje się nic. Żaden „jaskółczy niepokój, żadna pasja, żadna obsesja. Po prostu nic. Postawa moralna? Raczej ideologia małomieszczańskich nuworyszów, zapatrzonych w bajecznie kolorowy świat zachodnich magazynów ilustrowanych. Radosna geba małej, prowincjonalnej stabilizacji. Marzenie ubogich duchem prostaczków o wielkim świecie, którego nie potrafią sobie inaczej wyobrazić niż na wzór i podobieństwo ogromnego, cudownie zaopatrzonego komisu.

Gdzieś w świecie szaleją burze, przelewają się rozmaite nowe fale. U nas, panie dzieju, wszystko po staremu, jak za króla Ćwieczka. Brodate Mniszkówny za kamerami snują swoje ponure dzieło. Sprężyną nowego kina był niemal wszędzie bunt przeciwko tzw. kinu papy i przeciwko wartościom ideowo-moralnym, które ono proponowało. W Polsce sytuacja przypomina do złudzenia sytuację z „Noża w wodzie" Polańskiego. Tzw. szczeniak zazdrości tzw. staremu samochodu, forsy i dziewczyny. Zazdrości i bardzo się nad sobą lituje że tego jeszcze nie posiada. Całemu światu ma za złe.

Niedawno, na łamach „Życia Warszawy" Krzysztof Mętrak z okazji Almanachu Młodych pisał o płaksiwym pokoleniu w literaturze. To płaksiwe pokolenie w filmie reprezentuje nasz jedyny „gniewny" — Jerzy Skolimowski. Gniewny, a może nadąsany, obrażony w imieniu pokolenia, że mu nie dano ani samochodu, ani ideałów i że broń Boże sami będą musieli o coś walczyć albo coś zdobywać, albo zmagać się choćby ze sobą. Podobno, drzewiej, jak głosi fama, młodzi sami sobie tworzyli ideały, walczyli o jakieś nowe wartości, obce światu „starych". Ale to było chyba dawno i nieprawda, bo teraz lamentują tylko srodze nad swoim trudnym dzieciństwem, pozbawionym wielu atrakcji. Nie sądzę, żeby wśród tych nadąsanych pojawił się jakiś naprawiacz świata albo przynajmniej filmu polskiego.

Dowodzą tego między innymi festiwale etiud szkoły filmowej. Ci młodzi ludzie posiadają wszelkie szanse wypowiedzenia się, gdyby tylko mieli rzeczywiście coś/kolwiek do powiedzenia. Ale poza małymi wyjątkami, nie mają. Są grzeczni, ugładzeni, starzy. Model oficjalnego kina w miniaturze. Żadnego odkrywania świata na własną rękę. Żadnego, oryginalnego, prawdziwie młodzieńczego spojrzenia. Świat widziany w pryzmacie kilku oklepanych stereotypów. Poza płaksiwością nadąsanych nic się niestety nie kryje. Angielska, francuska nowa fala wyłoniły się jako ruch grup młodych ludzi, zjednoczonych pewną wspólną postawą, wspólnymi dążeniami. Grupie młodych absolwentów czeskiej uczelni filmowej, mających swój własny ideał kina, udało się przeforsować go wbrew i na przekór „starym", co więcej, pociągnąć tych starych za sobą, ale mieli oni coś do powiedzenia i chcieli za wszelką cenę to powiedzieć, nie czekając aż im błogosławiona manna spadnie sama z nieba.

Czy absolwentów łódzkiej szkoły łączy coś więcej niż wspomnienia wspólnego kucia do egzaminów? Czy pragną wspólnie coś obalić, czemuś zaprzeczyć? Czy żywią ambicje stworzenia prawdziwej nowej fali polskiego filmu? Oto pytania nader istotne w aktualnej sytuacji, ale jak dotąd nie posiadamy danych pozwalających pozytywnie na nie odpowiedzieć. Sztuka filmowa jest sprawą kultury i sprawą talentu, lecz także i w dużej mierze sprawą pasji, obsesji, sprawą jedynego i koniecznego wyboru. Parafrazując powiedzenie Greka Zorby rzec można, że kogo nie stać na odrobinę szaleństwa, ten nigdy nie będzie artystą.

Andrzej May i Janusz Kłosiński w „Sonacie Belzebuba". Fot. A. Brustman

ROMAN ŁOBODA

„SONATA BELZEBUBA" W TEATRZE NOWYM

Jeżeli uznamy dramaturgię za część literatury, która następnie materializuje się na deskach scenicznych, to problem „historyczności" właśnie w teatrze jest najbardziej uchwytny. Dramaturgię, córkę literatury tyranizuje teatr, przywołuje do porządku, rozsądku i poczucia czasu, który rzadko nie jest czasem historycznym. To poczucie czwartego wymiaru w teatrze, sprawia, że o wiele łatwiej zostać „Witkacym" pędzla i płótna niż Witkacym desek scenicznych.

Żeby uniknąć nieporozumień śpieszę wyjaśnić, że to co nazywam historycznością niewiele ma wspólnego z tzw. problematyka historyczną w twórczości, natomiast odnosi się do tego, co możemy bardzo ogólnie określić jako nacisk atmosfery, którą „oddycha" epoka, na twórczość w ogóle, a twórczość teatralną w szczególności.

Na atmosferę epoki składają się również doznania czasu poprzedzającego, najczęściej złe, gdyż jak nas doświadczenie uczy czas historyczny dla sztuki, to okres od wojny do wojny.

Po ochłonięciu z przerażenia i wybebeszeniu obsesji nastaje czas odwracania głowy — rewizja przeszłości.

Grzebaniu w lamusie towarzyszą od czasu do czasu okrzyki podziwu; oto rzecz wielkiej wartości znaleziono w rupieciach: coś, co potwierdza współczesne racje! Taka współczesną racją — między innymi — stał się Stanisław Ignacy Witkiewicz, dramaturg czasu międzywojennego. Witkacy był również powieściopisarzem, malarzem, filozofem i teoretykiem teatru.

Problem „historyczności", a właściwie „historyczność" problemu polega, moim zdaniem, właśnie na tym, że wiele odkrywczych zjawisk artystycznych weryfikuje u nas nie tylko czas ale i historia. Później pisze się tak: „(...) Jako pisarz należał do rzędu tych twórców, którzy znacznie wyprzedzają swój czas. Grano go niejako „pokątnie" w małych eksperymentalnych teatrzykach i to z zastrzeżeniem.(...) Jego sztuki w latach kiedy powstawały, przyjęte były przez krytykę, teatry i publiczność z niedowierzaniem lub niechęcią. Widziano w nich tylko przekorną drwinę, z wszelkiego prawdopodobieństwa życiowego albo po prostu drwinę ze zdrowego rozsądku.(...)"

Ostatnia wojna zadrwiła ze zdrowego rozsądku i zweryfikowała wszelkie nieprawdopodobieństwa. Stanisław Ignacy Witkiewicz był pierwszym dramaturgiem, (przed Ionesco, Beckettem, Adamowem i Mrożkiem), który dostrzegał i wydrwiwał w drapieżnej grotesce, nie jak jego poprzednicy w kraju i za granicą „typy psychologiczne", lecz typowe wykrzywienia psychologiczne swojego czasu.

Mówią, że Witkacy przeżywa w Polsce renesans. Cóż to za renesans? Witkacy został odkryty po bez mała 40 latach, odkryty zbyt późno, by mógł odegrać rolę światowej miary nowatora jaka mu się należała.

Witkacy jest pisarzem współczesnym. Oczywiście, wyprzedził swój czas... Ale na sztukach Witkacego słyszy się huragany beztroskiego śmiechu. Czy to źle? Ależ dobrze. Niemniej jednak nie tylko o śmiech Witkacemu chodziło, miał jeszcze coś do powiedzenia. Prowadził namiętną dyskusję filozoficzną, ale nade wszystko był teoretykiem teatru i proponował nowe widzenie dramaturgiczne. Nowe widzenie dramaturgiczne już nikogo nie dziwi, ale też nie Witkacy został uznany na świecie za ojca tego widzenia. Zagubiono największy walor jego dramaturgii — prekursorstwo. Jest współczesny gdyż założenia formalne jego dramatów są nadal współczesne.

Tragiczny paradoks prekursorstwa Witkiewicza polega na tym, że w ciągle jeszcze nowatorskiej formie niektóre sekwencje straciły siłę filozoficznego dyskursu ze współczesnymi. Namiętna gorycz i intelektualna ironia w rozprawie z diabolizmami i freudyzmami wydaje się teraz zabawnym wyobrażni szaleństwem przywołującym cienie przybyszewszczyzny. Nie stracił swej siły perwersyjny humor, który budzi „huragany beztroskiego śmiechu".

Jeden z moich przyjaciół zastanawiał się nad tym, czy Witkacy długo utrzyma się na scenach. Wydaje się, że autor „Kurki wodnej", „Wariata i zakonnicy", „Szewców" i „W małym dworku" jeszcze długo będzie zadziwiał, a później już tylko bawił widownię.

Historia niekiedy odgrzebuje prekursorów, ale czas dla ich dzieł jest nieubłagany — wietrzeją.

„Sonata Belzebuba" na dużej sali Teatru Nowego zadziwiała i bawiła. Co się tyczy refleksji, to i owszem — drugoplanowo i nienatarczywie. Czy tak się godzi? Godzi się, czemu nie.

Obsesja sztuki wyzwolonej, która prześladowała Witkacego i wpędziła go w diaboliczną sonatę, ta obsesja była wyczuwalna na scenie, była powietrzem, którym oddychały groteskowe typy z Mordowaru.

Nic z fantastycznej zabawy nie zostało uronione prócz konwencjonalnej fantastyki, która sam autor pogardził, rozbijając ją „purenonsensem" i paradoksem. Efekty niebywale zabawne w połączeniu z bogato i dowcipnie wplatana w akcję — nieakcję pirotechniką. Tu brawa dla reżysera **Stanisława Kokesza**, który nie gubił tempa, nawet, gdy się paliło. A paliło się siarczyście. Najgoręcej **Bohdana Majda**, stwarzając szatańską i nie zapomnianą kreację jako Hilda Fajtcacy.

Andrzej May również dobrze wczuł się w swoje zadanie. Nawiedzony przez twórczą możność-niemożność, opętany ideą natrętną stworzenia niepowtarzalnego dzieła, przybierał gesty i stroił miny jako Istvan Szentmichalyi, kandydat na wielkiego kompozytora. May zręcznie balansował między genialnym opętaniem a zwykłym kabotyństwem, plastycznie oddając ironiczny stosunek Witkacego do międzywojennych postaw artystowskich.

Janusz Kłosiński w pierwszym akcie „zcichapęk", jeszcze nie całkiem zdający sobie sprawę ze swego powołania, niby niewinnie zalecający się do swego medium Belzebub. Później, opętawszy Istvana po ludzku tęskniącego do swego Belzebuba sztuki, Kłosiński konsekwentnie szatanieje. Współczesny Belzebub w interpretacji Kłosińskiego jest śmieszny, swojski, a w istocie niebezpieczny — posiada wszystkie cechy człowiecze.

Ewa Zdzieszyńska pokazała jak można być babką XX wieku. Parodystyczność roli Babci Julii Zdzieszyńska zilustrowała celną dykcją, intonacją i gestem.

Ludwik Benoit każdym swym wejściem na scenę sprawiał szczerą radość. Jego plastyczna mimika daje znakomite efekty groteskowe. Oryginalny Teobald Rio Bamba.

Ryszard Dembiński w roli Hieronima Barona Sakalyi niewątpliwie mieścił się w intencjach demaskatorskich i sadystyczno-masochistycznego stosunku autora „Sonaty Belzebuba" do arystokracji. Zabawa w paralityka w naturalistycznym wykonaniu Dembińskiego była wyrafinowanym znęcaniem się nad widzem. Podobnie zresztą sadyzm i zarazem masochizm cechuje stosunek Witkacego do artysty.

Aleksandra Krasoń w każdej kolejnej kwestii coraz lepsza jako Krystyna Ceres.

Hanna Bedryńska — pikantna Baronowa Sakalyi; zabawny jak zwykle **Zygmunt Zintel** — de Estrada; **Krystyna Łapińska** jako Ciotka Istvana akompaniowała dyskretnie ale bez fałszu. Wreszcie **Jan Zdrojewski** (Chebnazel), **Zygmunt Malawski** (Azdrubot) i **Eugeniusz Kamiński** (Lokaj Baronowej) — wszyscy dostroili się do tonacji inscenizacyjnej „Sonaty".

Henri Poulain — scenografia jak ulał w miarę przesadna, dowcipnie kiczowata. Kostiumy barwne i oryginalnie dostosowane do ironicznej zabawy.

„SONATA BELZEBUBA" czyli prawdziwe zdarzenia w Mordowarze. Stanisław Ignacy Witkiewicz. Reżyseria: Stanisław Kokesz. Scenografia: Henri Poulain. Muzyka: Mateusz Święcicki. Teatr Nowy.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

WYSTAWA ARTYSTY NIEMAL ZAPOMNIANEGO

■ W berlińskiej Akademii Sztuk otwarta została ostatnio wystawa poświęcona życiu i twórczości malarza, grafika i pisarza Hirscha.

Karl Jakob Hirsch urodził się w Hanowerze, w roku 1892 w rodzinie lekarza pochodzenia żydowskiego. Malarstwo studiował w Monachium, po czym przebywał w Worpswede koło Bremy

Karl Jakob Hirsch — autoportret. Drzeworyt ok. 1918 r.

i w Berlinie. W latach 1931 i 1932 Hirsch pisze swoją pierwszą powieść pt. „Kaiserwetter" (Cesarska pogoda), w której w satyryczny sposób skrytykował czasy Wilhelma. Już w roku 1933 książka została spalona przez hitlerowców.

Po dojściu Hitlera do władzy, Hirsch emigruje najpierw do Danii, potem przebywa w Szwajcarii, a następnie udaje się do Ameryki, gdzie pisze, i w roku 1941, wydaje „Dziennik z Trzeciej Rzeszy". Powstaje następnie w formie listów do syna, książka autobiograficzna pt. „Powrót do Boga" (wydana już po wojnie w Niemczech). W roku 1945 Hirsch wraca do Niemiec. Umiera w roku 1952 w Monachium.

PIĘĆ MIAST WZIĘŁO UDZIAŁ W LICYTACJI OBRAZU PICASSA

■ Jak o tym pisaliśmy w numerze 6 (420) „Odgłosów", Picasso przeznaczył jeden ze swych obrazów na licytację, z której dochód przekazany zostanie dla ratowania dzieł sztuki we Florencji.

Licytacja za pośrednictwem telewizji prowadzona była przez pięć miast: Paryż, Nowy Jork, Los Angeles, Dallas i Fort Worth. Kolorowy obraz telewizyjny przekazywany był z Europy do Ameryki za pośrednictwem satelity Early Bird. Audycja połączona była z telewizyjnym reportażem z wystawy dzieł Picassa w Paryżu. Dodajmy na tym miejscu, że tę wystawę urządzoną w Grand i Petit Palais (o czym pisaliśmy w swoim czasie) zwiedziło w dniach od 17 listopada ub. r. do 12 lutego br. aż osiemset pięćdziesiąt tysięcy osób. Były dnie, że zwiedzało ją po 15 tysięcy ludzi.

Obraz Picassa na licytacji miał cenę wywoławczą 60 tysięcy dolarów. Zwyciężyło muzeum miasta Fort Worth w Teksasie, ofiarowując za obraz sto pięć tysięcy dolarów.

KSIĄŻKA O SAFONIE

■ Safona (VII/VI wiek p.n.e.) z Metyleny na wyspie Lesbos uznana jest za największą poetkę starożytności, a sławne są jej liryki miłosne. Po prawie dwóch i pół tysiąca lat poetka doczekała się obszernego opracowania, gdyż monografię o jej życiu i twórczości napisała Edith Mora. Książka ukazała się w Paryżu w wydawnictwie Flammarion. Sappho (gdyż przy takiej pisowni upiera się autorka monografii) była podobno małą brunetką. Uchodziła za brzydką, choć Edith Mora zastrzega się, że niekoniecznie dziś uchodziłaby za taką. W każdym razie Safona typem urody daleko odbiegała od greckiego ideału piękności. Autorka monografii twierdzi, że Safona była jedyną kobietą w starożytności, która otrzymała wychowanie i staranne wykształcenie na takim poziomie jaki był dostępny jedynie dla mężczyzn. Imię Safony kojarzy się przede wszystkim z pojęciem miłości lesbijskiej. Edith Mora postanowiła odtworzyć prawdę o Safonie i przedstawić jej wielkość jako poetki. Safona według autorki monografii była z pochodzenia Azjatką. Mimo, że nie odpowiadała ówczesnym wyobrażeniom o urodzie kobiecej, budziła zachwyt wielu mężczyzn, a niektórzy, zwłaszcza poeci, kochali się w niej bardzo. Edith Mora nie przypuszcza, żeby Sappho popełniła samobójstwo z miłości, jak o tym utrzymuje się legenda. Rzucenie się Safony ze skał w morze, owiane legendą narosłą przez wieki, ma według autorki monografii, znacznie głębsze podłoże psychologiczne. Safona zafascynowana była tajemniczością i wielkością morza. Edith Mora w trakcie swych badań literacko-historycznych zauważyła, że tam gdzie występują białe, kredowe skały nadmorskie, tam właśnie zdarzają się samobójstwa i to tego samego typu. Sappho była poetką samotności — wywodzi Mora — i miała obsesyjny lęk przed śmiercią, a równocześnie śmierć w tajemniczy sposób ją pociągała. Szukając analogii, Edith Mora przypomina obsesje Nervala, Baudelaire'a, Rimbauda, a nawet Michaux.

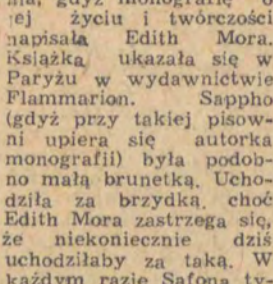

Monografia o Safonie liczy 450 stron, zawiera kilkaset fragmentów wierszy poetki (w tłumaczeniu na francuski). Warto wspomnieć, że wiedza o Safonie i o jej twórczości wzbogaciła się znacznie od czasu odkrycia w 1898 roku papirusów z fragmentami wierszy słynnej i wielkiej poetki starożytności.

70-LECIE URODZIN KATAJEWA

■ Znany pisarz radziecki Walentin Pietrowicz Katajew urodził się w roku 1897 w rodzinie nauczycielskiej. Drukuje swoje utwory bardzo wcześnie, gdyż już jako trzynastoletni chłopiec zamieszcza wiersze w gazetach. Mając lat szesnaście posiada w swym dorobku literackim ponad 30 wierszy opublikowanych w odeskich i petersburskich czasopismach. W 1912 roku ukazują się pierwsze opowiadania Katajewa, ale rozgłos zdobywa dopiero twórczością satyryczną (opowiadania, komedie) w latach 1925—1928.

W. P. Katajew w karykaturze J. Igina.

W roku 1932 ukazuje się powieść — kronika pt. „Czasie, naprzód"! (Wremia, wpierod!) w której autor podjął tematykę produkcyjną okresu budownictwa socjalistycznego. W czasie wojny Katajew jest korespondentem dzienników.

Tematyka okresu wojny znajduje swój wyraz w „Opowiadaniach wojennych". Pisze następnie sztuki sceniczne takie jak „Błękitna chusteczka" i „Dom rodzinny" oraz powieść dla młodzieży pt. „Syn pułku". Za książkę tę otrzymał w 1946 nagrodę państwową.

Ważną pozycję w piśmiennictwie Katajewa stanowi jego twórczość powieściopisarska dla młodzieży. W tych książkach autor, w oparciu o materiał z własnych przeżyć, kreśli walkę narodu o władzę Rad. Z tego cyklu najbardziej znana polskiemu czytelnikowi jest powieść pt. „Samotny biały żagiel". W roku 1960 Katajew otrzymał nagrodę leninowską.

OBRAZ LEONARDA DA VINCI SPRZEDANY DO WASZYNGTONU

■ Waszyngtońska National Gallery of Art nabyła znany obraz Leonarda da Vinci „Ginevra dei Benci". Jest to obraz namalowany na topolowej desce o wymiarach 42 na 37 centymetrów, czyli niewielki. Dzieło powstało między rokiem 1474 a 1478 i przedstawia młodą florentynkę z rodu Benci. Ginevrę porównuje się często z Giocondą, gdyż podobnie jak tamta ma tajemniczy uśmiech. Portret uchodzi za jeden z najpiękniejszych w historii malarstwa. Obraz znajdował się ostatnio w posiadaniu księcia Liechtensteinu Franciszka Józefa II. Ani waszyngtońska galeria, ani książę nie ujawnili ceny sprzedażnej, ale ze źródeł wiarygodnych pochodzi wiadomość, że obraz został kupiony za ok. 6 mln dolarów. Jest to najwyższa suma jaką otrzymano za dzieło sztuki. Poprzednio najwyższą cenę uzyskał obraz Rembrandta sprzedany za dwa i pół miliona dolarów.

JAPOŃSKI DOM LITERATURY WSPÓŁCZESNEJ

■ W Tokio został wzniesiony Dom japońskiej współczesnej literatury. Będą tu gromadzone i chronione japońskie książki, rękopisy japońskich autorów oraz pamiątki związane z życiem i twórczością pisarzy.

Dom powstał z inicjatywy japońskich literatów, dzięki ich staraniom i w znacznej mierze dzięki środkom finansowym przez nich zdobytym. Aby zebrać potrzebne fundusze pisarze wygłosili szereg odczytów, urządzali wystawy książek i imprezy.

NAJBLIŻSZE ZAMIERZENIA MARCELA MARCEAU

■ Jak wiadomo pantomima lub mimodram to nieme przedstawienie sceniczne, w którym aktorzy ograniczają się jedynie do mimiki, ruchów i gestów.

Wybitnym, o światowej sławie pantomimistą jest Francuz Marcel Marceau. Ostatnio „Litieraturnaja Gazieta" przynosi interesującą informację, o tym że słynny aktor pantomimiczny zamierza skompletować międzynarodowy zespół sceniczny oraz uruchomić

ma uczelnię, której zadaniem będzie przygotowanie do tego specyficznego aktorstwa jakim jest gra w mimodramie.

Czy będzie w tej szkole nauka rysunków? Pytanie to jakkolwiek zdawałoby się dziwne, okazuje się dość istotne ponieważ Marcel Marceau, przy opracowywaniu scen pantomimy posługuje się najpierw ołówkiem. A więc rysuje historię obrazkową, poszczególne sytuacje, a następnie przenosi swe pomysły już na scenę. Zamieszczamy dwa jego rysunki, które służą jego projektowi pantomimicznego przedstawienia. Treść jest następująca: biedny robotnik znajduje przypadkiem los na loterię. Marzy teraz, że na ten los padnie główna wygrana, a on dzięki otrzymanej fortunie wybierze się ze swą ukochaną na Księżyc. Istotnie na znaleziony los pada główna wygrana, ale biedaka omija szczęście, a marzenia pozostają marzeniami, gdyż na skutek fatalnego splotu okoliczności „papierek szczęścia" wpada w ręce włóczęgi, który nic nie wiedząc o wartości losu, zapala nim wygasłego papierosa.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

POLONIA		
WŁÓKNIARZ	„Bokser", 15 seansów	7233 — 55%
	„Pogarda", 35 seansów	1490 — 70%
TEATR		
NOWY	„Sen srebrny Salomei", 1 spektakl	450 — 70%
	„Kowal, pieniądze i gwiazdy", 2 spektakle	1490 — 100%
	„Sonata Belzebuba", 2 spektakle	900 — 70%
	„Pan Drops i jego trupa", 1 spektakl	700 — 100%
MAŁA SALA	„Anioł na dworcu", 1 spektakl	150 — 75%
	„Kartoteka", 2 spektakle	400 — 100%
POWSZECHNY	„Derby w pałacu", 1 spektakl	650 — 99%
	„My fair lady", 2 spektakle	1320 — 100%
JARACZA w teatrze „ROZMAITOŚCI"	„Biała diablica", 2 spektakle	1266 — 100%
	„Namiestnik", 3 spektakle	1866 — 99%
7.15	„Dobrze skrojony frak", 4 spektakle	1684 — 100%
OPERETKA	„Życie Paryskie", 6 spektakli	4783 — 72%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Droga do Czarnolasu", 6 spektakli	2322 — 100%
	„Trudna miłość", 7 spektakli	2173 — 100%
TEATR WIELKI	„Halka", 3 spektakle	3826 — 100%
	„Straszny dwór", 2 spektakle	2552 — 100%
	„Kniaź Igor", 1 spektakl	1276 — 100%

POLONICA

POLONIA AMERYKAŃSKA O CYBULSKIM

Tragiczna śmierć Zbigniewa Cybulskiego szerokim echem odbiła się wśród Polaków zamieszkujących w Stanach Zjednoczonych.

„Głos Ludowy" z Detroit, w rubryce „Kronika kulturalna" poświęca dużo miejsca temu utalentowanemu aktorowi. Omawiając film „Jak być kochaną", który wszedł właśnie na ekrany kin amerykańskich, autor recenzji pisze:

„...Zbigniew Cybulski, który już zapewnił sobie zaszczytne miejsce w historii kinematografii polskiej — i którego ekran polski nigdy nie odżałuje — odszedł od nas na zawsze...".

Tenże dziennik zamieścił krótką notatkę dotyczącą obchodów 5-tej rocznicy śmierci Wł. Broniewskiego w Płocku oraz informację o odsłonięciu pomnika St. Żeromskiego w Iławie, gdzie pisarz w 1920 r. uczestniczył w wiecu plebiscytowym.

(Ė. I.)

DNI FILMU POLSKIEGO W CZECHOSŁOWACJI

Jak podaje ostrawskie „Słowo Ludu", w Pradze niebawem rozpoczną się Dni Filmu Polskiego.

„Rękopis znaleziony w Saragossie" oraz „Faraon" zainaugurują tegoroczny przegląd naszej kinematografii.

Ponadto widzowie czechosłowaccy obejrzą „Zaduszki", „Niekochaną", „Sublokatora", „Boksera" i „Eroicę".

Przegląd filmów polskich odbędzie się w 15 miastach CSRS.

Ten sam dziennik podaje również, że w Karwinie i w Nowym Mieście odbył się występ naszej znakomitej pianistki Haliny Czerny-Stefańskiej.

(E. I.)

BRZECHWA I FILIPOWICZ PO ROSYJSKU

„Dziennik antybohatera" Kornela Filipowicza znalazł się na półkach radzieckich księgarń. Wydawcą jest zasłużone wydawnictwo, propagujące co celniejsze pozycje literatury światowej „Progres", które reklamując książkę, pisze: „Dokonawszy bezlitosnej sekcji świata wewnętrznego swojego bohatera — egoisty, mieszczucha i samochwały — pisarz nawołuje do moralnej odpowiedzialności jednostki wobec społeczeństwa".

Przekładu dokonał M. Ignatow.

Natomiast wydawnictwo „Dietskaja Litieratura" wydało w nakładzie 50.000 egz. „Akademię pana Kleksa" — Jana Brzechwy.

(ei)

POLONICA

ANDRZEJ MAKOWIECKI

JAKA TAM SPIRALA ŚMIERCI

1.

Zaczęło się miesiąc temu, na mistrzostwach Europy. Włączyłem telewizor. Łyżwy. Nawet to ładne. Tańce, harce, wygibasy, a z posuwem, a z przytupem, snopek światła na wypukłej pupce zawodniczki...

Na drugi dzień włączyłem telewizor. Łyżwy. Trudno. Niech sobie pojeżdżą. Zawsze to lepsze od giełdy piosenek, przynajmniej muzyczka rżnie jak należy, skocznie i dziarsko, no i nikt nie śpiewa.

Na trzeci dzień... Znowu te wszystkie przysiady — spirale śmierci na wewnętrznej i zewnętrznej stronie, axele jakieś, piruety, coraz trudniej i cudniej, a im cudniej tym nudniej, a więc wściekać się zacząłem, a moja żona powiedziała, że tu nie trzeba się wściekać tylko wyłączyć telewizor, niech sobie odpocznie...

Odpoczął sobie dnia czwartego i piątego, bo mistrzostwa, to bardzo ważna rzecz, i muszą trwać długo, i należy je transmitować do końca, gdyż inaczej mógłby się obrazić jakiś redaktor z „Przeglądu Sportowego" i obrzucić Telewizję błotem.

2.

Szóstego dnia program wrócił do swej znakomitej normy; bolesne luki po łyżwach zostały zapchane przeróżnymi pogadankami i wywiadami. Ja tam nie narzekam: skończyły się łyżwy, skończyły zmartwienia i spirala śmierci nie straszy po nocach w monotonnym, idiotycznym śnie.

Ale moja radość trwała krótko. Włączam sobie kiedyś telewizor, ukochane okienko na świat, a tu primadonna polskich spikerów, obywatel Pach, zapowiada z entuzjazmem w głosie, że już niedługo, że zaraz! rozpoczną się mistrzostwa wszech kontynentów w figurowym wywijaniu łyżwą. I rzeczywiście: w czwartek się zaczęło, w niedzielę skończyło. Co wieczór, dwie bite godziny dnia każdego, wypukłe pupki błyszczą w reflektorach; ciągle ta sama sceneria, te same twarze (zapamiętane z poprzednich mistrzostw), ta sama muzyczka rżnie na jedną nutę, ci sami jurorzy o kamiennych twarzach feruią surowe wyroki, a jeden występ jest podobny do drugiego jak dwie krople wody, a jeden skok powiela drugi, a wszystkie piruety są niebywale cudne i jeszcze bardziej nudne, i ciągnie się ta flegma bez końca, bez wytchnienia, bo przecież trzeba nam pokazać zarówno mistrza jak i tę fajtłapę, co zajmie ostatnie miejsce, choć na dobrą sprawę, dla mnie, laika, ta fajtłapa mogła zostać mistrzem, a ten mistrz — fajtłapą — żadnych różnic między nimi nie widać, tyle że mistrz radośnie kiwa ręką w obiektyw, aby pozdrowić swoich bliskich i mnie, a fajtłapa robi to mniej radośnie, bo nie ma znowu z czego się cieszyć...

3.

Przeciwnikiem sportu — powiem to od razu — nie jestem. Ale sport musi mieć jakąś dramaturgię. Musi być walka. Twarda. Zacięta. I pot. I dziać się coś musi, do cholery, zmieniać!

Figurowe wywijanie łyżwą nie wydaje mi się sportem. Raczej sztuką. Sztuczką. Jest dobre, jak muzyka big-beatowa, przez piętnaście minut. Potem zaczyna być nudno: nikt się nie przewraca, nie myli, ktoś się podobno podparł ręką, ale ja nie widziałem, ktoś inny krok zgubił i za nisko podniósł partnerkę — informuje o tym nasz rodzimy komentator głosem monotonnym i znudzonym — ale co mnie to obchodzi.

4.

Gdyby były dwa kanały w telewizji — w porządku. Jedni film oglądają, drudzy mistrzostwa. Niewykluczone, że sam bym popatrzył na fikających łyżwiarzy. Ale miałbym prawo wyboru. Mógłbym dawkować te delicje jak lekarstwo.

A tak, to co...

Że nie muszę się męczyć! Żeby zgasić? No to, co robić, gaszę. Przeklinam i gaszę. Niech sobie odpocznie — stara, poczciwa skrzynia. Przecież ona niewinna.

jedwabna droga do Grecji

Kobiety w egzotycznych krajach? My staramy się wysyłać nasze kobiety niedaleko. To znaczy nie do krajów tropikalnych, nie tam gdzie klimat jest trudny do zniesienia dla Europejczyka. Nasze panie nie wyjeżdżają więc do Afryki, Azji, na Daleki czy Środkowy Wschód.

Najczęściej podróżują po krajach europejskich — powiedział mi dyrektor CeTeBe Z. Starzeński. A przecież CeTeBe eksportuje tekstylia na wszystkie kontynenty. Dyskryminacja więc, czy troska? Raczej to drugie. Bo po pierwsze — czyż może być mowa o dyskryminacji tam, gdzie 57 procent pracowników stanowią kobiety, a po drugie — jednak sporo przedstawicielek tej placówki handlowej wyjeżdża za granicę. Dla przykładu — w IV kwartale ubiegłego roku z 48 wyjazdów zagranicznych 16 przypadło kobietom. Jak się okazuje panie z CeTeBe reprezentują handel polski również i znacznie dalej, w innych częściach świata. Ale o tym innym razem.

Jedną z podróżujących jest pani Melania Uzarska, rzeczoznawca w Biurze Tkanin Jedwabnych CeTeBe. Pani Uzarska pracuje tu już 10 lat, do ubiegłego roku zajmowała się eksportem tkanin bawełnianych ostatnio przestawiła się na „jedwabne życie". Była w sprawach handlowych dwukrotnie w Jugosławii, raz w Chinach oraz trzykrotnie w Grecji i na Cyprze. Tam właśnie odbywała swą ostatnią, ubiegłoroczną podróż.

— Pani częste wyjazdy za granicę świadczą o tym, że kobiety są dobrymi kupcami, a Pani systematyczne wyjazdy do Grecji — o tym, że prowadzimy z tym krajem ożywioną wymianę handlową?

— Istotnie, nasze tekstylno-handlowe kontakty z Grecją są dość żywe, trwają już od przeszło 10 lat i wśród central eksportujących do tego kraju CeTeBe zajmuje drugie miejsce. Największą pozycję w tej wymianie zajmują tkaniny bawełniane, a po nich jedwabne, przy czym sprzedaż jedwabiu ma stale tendencje rozwojowe. W 1965 r. sprzedaliśmy do Grecji 600 tysięcy metrów, w 1966 r. — 900 tysięcy, a w styczniu br., plan sprzedaży przewidywał milion metrów. Ogółem w ubiegłym roku wyeksportowaliśmy tekstyliów za półtora miliona dolarów, mimo dużej konkurencji, jaką stanowią i kraje zachodnioeuropejskie (Francja, Włochy, Holandia, NRF), i socjalistyczne (Rumunia, Czechosłowacja, Węgry, NRD). Spośród krajów naszego obozu jesteśmy największym eksporterem wyrobów tekstylnych do Grecji.

Sprzedajemy tam głównie tkaniny pościelowe, flanele, kretony (bawełna) i tkaniny podszewkowe, szlafrokowe i sukienkowe (jedwab). Nasze wyroby jedwabne przeznaczone są głównie dla wsi i obecnie mamy zamiar zwiększyć eksport tych tkanin wyższej jakości. Kraje zachodnie sprzedają w Grecji tkaniny wyższego standardu, w małych zresztą ilościach, i tu konkurencja jest dość trudna, bo często jest to sprzedaż posezonowa, o znacznie obniżonych cenach.

— Czy w tych dość trudnych warunkach kobieta jako kupiec ma do spełnienia specjalnie ciężkie zadanie?

— Grecy są dobrymi kupcami, znają się na towarze i umieją handlować, ale mają też specyficzny sposób przeprowadzania transakcji. Nawet jeśli zależy im na kupnie — zaczynają od narzekań i pretensji. To mieli trudności ze sprzedaniem poprzedniej partii, to jakość była nie najlepsza, to inni chcą sprzedać im to samo znacznie taniej. Z argumentowaniem tych zarzutów na ogół się nie śpieszą, zawsze też okazuje się, że wszystko sprzedali. Taka to już szkoła handlowa. W tej sytuacji trzeba mieć wiele wyczucia do jakiego stopnia traktować tę grę na serio, kiedy puszczać zarzuty mimo uszu, a kiedy brać je poważnie. Wybór metody często decyduje o powodzeniu transakcji.

Oni sami, choć przyznają, że kobietom przyjeżdżającym do Grecji w sprawach handlowych nic zarzucić nie można, mówią, że wolą mieć do czynienia z mężczyznami. Wobec nich mogą dawać ujście swemu żywemu temperamentowi bez skrępowania, stawiać sprawy ostrzej, twardziej, jednym słowem „po męsku". Obecność kobiety hamuje ich handlowy temperament, zmusza do przestrzegania form grzecznościowych, no i bardziej dyplomatycznego słownictwa.

W sprawach handlowych spotykamy się wyłącznie z mężczyznami, z kobietami natomiast na gruncie towarzyskim. Te z kolei wyrażają zdziwienie, a może raczej podziw: jak to, pani zamężna, ma dzieci i chce tak sama jeździć w sprawach służbowych?

— Może przy okazji powie nam Pani coś o kobietach greckich, które podobno są bardzo ładne?

— Na wsi wciąż jeszcze pokutują wpływy tureckie, spotyka się tam jeszcze kobiety zakwefione, często można zobaczyć mężczyznę jadącego na osiołku, a obok idącą żonę. Ale i w mieście, całkowicie już zeuropeizowanym, kobieta jest problemem od pierwszej chwili życia. Przyjście na świat córki kojarzy się z podstawowym zmartwieniem: posagiem. Każda, nawet najładniejsza Greczynka, jeśli chce wyjść za mąż, musi mieć posag. O tym się myśli od pierwszej chwili jej życia i z tym pogodziła się ona sama. Uboższe, którym rodzice nie mogą zapewnić tej wizy matrymonialnej, wcześnie rozpoczynają pracę zarobkową, by na posag uskładać. Za mąż chce wyjść każda, bo małżeństwo wiąże się z perspektywami porzucenia pracy zawodowej, założenia własnego domu, rodziny. Ambicją każdego Greka jest, by żona nie pracowała poza domem. Nie zawsze się to jednak udaje. Czasem pracują i kobiety zamężne. Greczynki są ekspedientkami, urzędniczkami, sekretarkami, maszynistkami, nigdy jednak nie zajmują stanowisk eksponowanych, kierowniczych.

Greczynki są istotnie bardzo ładne, zwłaszcza młode. Szczególną ich ozdobą są piękne, starannie pielęgnowane włosy. Kochają się w ładnych strojach, żywych, jaskrawych, kontrastowych kolorach, które zresztą podkreślają ich południową urodę. Greckie elegantki przyjęły modę włoską.

— Czy w lokalach, restauracjach i kawiarniach kobiety bywają same?

— Grecję odwiedzają rzesze turystów europejskich i amerykańskich, co na pewno wpływa stopniowo na zmianę miejscowych obyczajów. Ale na ogół Greczynki pokazują się w lokalach w towarzystwie mężów czy narzeczonych. Na bocznych ulicach są małe kafejki, w których kobiety nie bywają w ogóle. To domena mężczyzn, pijących tam kawę i piwo, grających w kości czy warcaby. Natomiast do lokali o charakterze bardziej europejskim, wieczorem, przychodzi się z kobietami. Wieczór spędzają oni jednak nieco inaczej niż my. Przede wszystkim dużo jedzą i piją, chętnie oglądają występy estradowe i uczestniczą w nich dość aktywnie. Jeśli podoba im się piosenka wykonywana przez aktorkę, śpiewają razem z nią. Natomiast dansing jest mało popularny. Za to zdarza się często, że dwóch, trzech mężczyzn wychodzi na parkiet, by zatańczyć taniec ludowy buzuki, przypominający nieco nasz góralski, przy akompaniamencie instrumentu ludowego o tej samej nazwie.

— Bardzo lubimy, gdy nasi rozmówcy opowiadają nam o mrożących krew w żyłach przygodach i niebezpieczeństwach, które na nich czyhały.

— Niestety, jak mówi nasz dyrektor, kobiet nie wysyła się do krajów, gdzie takie przygody czyhają. Najbardziej wstrząsającym przeżyciem w mojej greckiej podróży było spotkanie w morzu całej masy ameb. Na swoje usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że mają one pokaźne rozmiary dużego talerza. Byłam wówczas w Salonikach na Międzynarodowych Targach. Mimo września pogoda była cudowna, temperatura około 30 stopni i dzięki zwyczajowi przerwy obiadowej, najlepsze godziny południowe mogłam spędzać nad wodą. Grecy w tym czasie sypiają. Ten zwyczaj, który latem jest koniecznością, utrzymują przez cały rok. Pracują do godziny 8 wieczorem, o 10 jedzą kolację, spać chodzą około 12—2 w nocy.

— A może spotkała Pani w morzu chociaż ośmiornicę?

— Ośmiornicę owszem, ale nie w morzu, tylko na półmisku jako potrawę, zresztą jak na mój gust wcale nie najlepszą.

— Czy w czasie takiej służbowej podróży zagranicznej ma Pani trochę czasu na zwiedzanie?

— Mój pobyt w Grecji trwa przeciętnie dwa - trzy tygodnie, na zwiedzanie jest więc trochę czasu, nie tyle oczywiście, ile by się chciało, a w Grecji jest co oglądać. Same Ateny są może najmniej ciekawe, ale udało mi się zwiedzić Półwysep Peloponeski, Korynt, Kanał Koryncki, widziałam Grób Agamemnona, byłam też w Epidaurze, we wspaniałym starożytnym teatrze na 14 tysięcy miejsc. Teatr ten słynie z fenomenalnej akustyki. Badaniem jej źródeł zajmują się naukowcy. Podejrzewa się, że przyczyną jest ukształtowanie terenu, specyficzne właściwości gleby, ale nic pewnego dotychczas nie ustalono. Jaka jest to akustyka, przekonałam się osobiście. Siedząc na szczycie amfiteatru słyszałam dokładnie jak ktoś na dole, na płycie darł małą kartkę papieru. W okresie letnim (teatr jest doskonale zakonserwowany) odbywają się tam festiwale teatralne, występują słynni artyści jak np. Maria Callas. Nie zwiedziłam jednak jeszcze wszystkiego, co chciałabym tam zobaczyć.

— Czy wybiera się Pani znów do Grecji?

— Chciałabym. Grecy są bardzo sympatyczni, a nam Polakom, okazują wiele serdeczności. Wydaje mi się, że mamy z nimi sporo wspólnych cech, jak przywiązanie do tradycji, miłość do ojczyzny. Bardzo żywe są tam na przykład tradycje partyzanckie z czasów ostatniej wojny. Ale najbliższy mój wyjazd zaplanowany jest w maju do Londynu i Irlandii.

— W wolnych od zajęć służbowych chwilach będzie więc miała Pani okazję kontemplować różnicę temperamentów na północy i południu Europy.

Rozmawiała:
TERESA WOJCIECHOWSKA

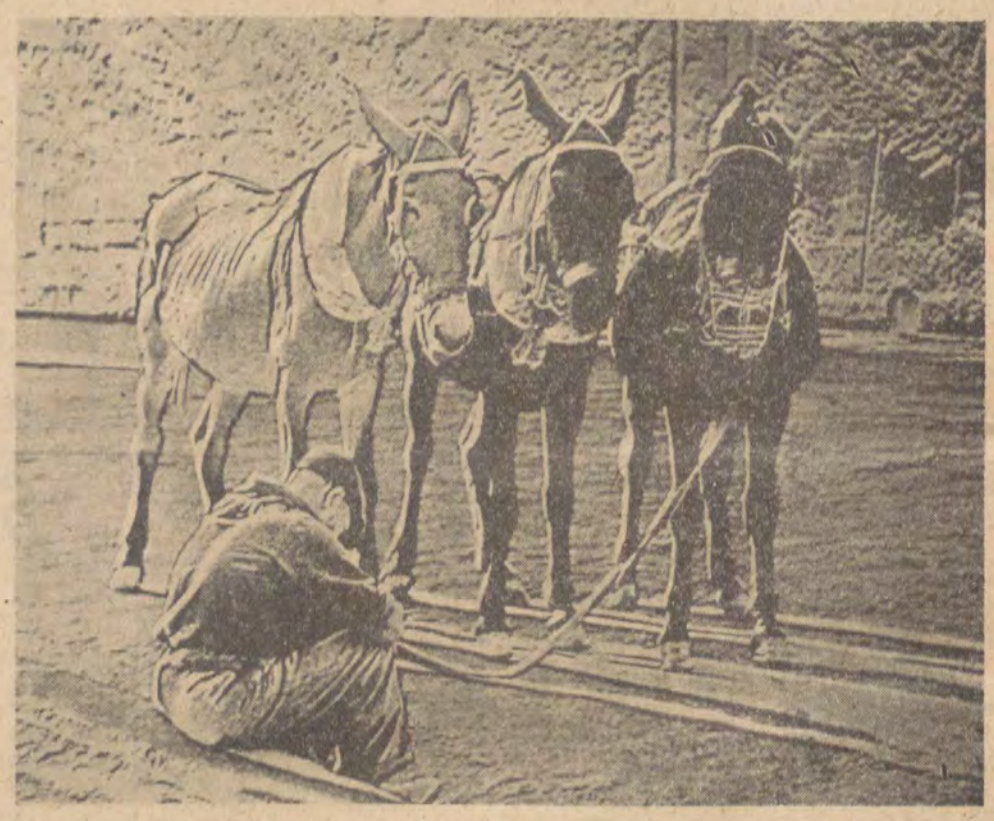

Lewym okiem

KOWALSCY NA JOWISZU

Wszystkie wizje przyszłości, z których żyją autorzy tak zwanych powieści naukowo-fantastycznych, wszystkie „science-fictions" ograniczają się do kreślenia obrazów niesłychanie spotęgowanej techniki, do wymyślania najcudowniejszych udogodnień, wygód i wygódek technicznych, mechanicznych, atomowych.

Jeśli latamy dziś z szybkością dwóch tysięcy kilometrów na godzinę, to bohaterowie powieści fantastycznych będą latać z szybkością sto czy tysiąc razy większą. Jeśli potrafimy przenosić na odległość bez przewodów dźwięk i obraz, to za sto lat będziemy przenosić jeszcze zapach, smak i kształt — i to nie tylko, bez przewodów, ale w ogóle, bez niczego. Jabłka będą bardziej rumiane, ubrania i obuwie dużo lżejsze, książki takie małe, że w ogóle nie ma o czym mówić. Pyłek. Muszka przeniesie niechcący na skrzydełku całego Krasewskiego pomiędzy rzymskich klasyków, a Homera na półkę młodych poetów łódzkich i cały katalog na nic.

Od niedawna zaczęło się dużo mówić i pisać o nowej dyscyplinie, nazwanej futurologią, czyli przewidywaniem przyszłości na podstawie przesłanek naukowych i rachunku prawdopodobieństwa. Co prawda od razu na wstępie okazało się, że z tym naukowym przewidywaniem nic nie jest lepiej, niż z wróżeniem z wnętrzności ptasich. Przed trzydziestu laty nikt nie przewidział ani jednego z tak wielkich wynalazków, jak radar, antybiotyki, odrzutowce czy energia jądrowa. Cóż to jest: trzydzieści lat? A my tu chcemy przewidywać, co będzie za sto i za pięćset! Więc nie łudźmy się jakimś wielkim walorem naukowym takich zgadywanek.

Nie o to jednak chodzi. I nawet nie o to, że cała tocząca się w prasie dyskusja futurologiczna jest niesłychanie pesymistyczna. Wnioski, jakie nasuwają się same, z dużą, przekonywającą siłą, ze znanych „na dziś" przesłanek, są jednolicie czarne w kolorze. Jest i teza (doktora Davida Drummonda z angielskiego Ministerstwa Rolnictwa), że ustąpimy miejsca na ziemi... szczurom. „Szczury należą do najinteligentniejszych zwierząt na świecie. Są już równie liczne jak ludzie. Mnożą się szybciej od nas. Mają wszelkie szanse przeżycia naszego gatunku". Zaczyna nam brakować na świecie nie tylko pożywienia, ale i wody a nawet powietrza. W wielkich miastach już dziś ludzie mdleją na ulicach z nadmiaru spalin. Brak nam miejsca. Do pracy dojeżdża się z coraz większych odległości. Posiadacze samochodów w Los Angeles suną w tłumie tysięcy wozów ponad godzinę z pracy do domu. W obie strony — dwie — trzy godziny. Wysiłek nerwowy kierowcy w godzinach szczytu na trasie jest przy tym — jak obliczono — osiem razy większy, niż przy intensywnej pracy. Cóż więc z tego, że mieszkańcowi Los Angeles skróci dzień pracy choćby o dwie godziny, jeśli jednocześnie tłok zmusi go do przedłużenia jazdy i do jeszcze intensywniejszego wysiłku po drodze? Błędne koło.

Co mnie jednak najbardziej uderza zarówno w literaturze fantastyczno-naukowej, jak i w ostrożniejszej i mimo wszystko bardziej z natury rzeczy wiarogodnej „futurologii", to fakt trwającego nadal niezmiennie zafascynowania techniką, względnie suchymi wyznacznikami liczbowymi demografii. Nie ma ani słowa o stosunkach ludzkich, nie ma cienia wizji przyszłych obyczajów, praw, moralności. Nie ma nic z tego, co ludzkie: humanistyki. Jak sobie wyobrazić rodzinę, stosunek rodziców do dzieci i na odwrót, los starców i kalek? Co myśleć o szkole za lat ileś tam, o stowarzyszeniach, o sztuce, o formach zabawy i odpoczynku, o rodzajach i formach miłości, odwagi, ambicji, strachu?

Okazuje się, że tu wyobraźnia zawodzi nas całkowicie. Tu każda zmiana jest zmianą jakościową, nie tak jak w obrabiarce, którą można udoskonalać w myśli tak, że będzie się obracać coraz szybciej aż do zupełnego kręćka. Widzimy ciągle tylko nas samych w coraz to innym środowisku, na innym świecie, wśród innych, lepszych maszyn. Nawet przecież wiara w życie pozagrobowe praktycznie sprowadza się do tego, że jej wyznawca widzi siebie takiego samego jak jest w tej chwili, za to w pięknym ogrodzie i bez kłopotów pieniężnych. Ciekawe, co by się okazało, gdyby wśród powodzi konkursów literackich na tematy nieraz bardzo wąskie ogłosić jeszcze taki: konkurs na powieść fantastyczną na temat humanistycznej przyszłości świata, ze szczególnym podkreśleniem rozwoju jednostki i społeczeństwa?

Pewnie nic by nie wyszło. Byliby Kowalscy, jeżdżący co sobotę na Jowisza, i ich synowie, obrzucający meteorytami sputniki w ciemnych kątach Drogi Mlecznej.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 655. III. 1967 r. O-10